

PREDEPLATA w Petersburgu rocz. 10 rubl. pół.
 5, kwart. 2 k. 50. Na pierwszy rok w Cesarstwie i Królestwie oraz w granicach: w Cesarstwie i Królestwie 10 rubl. pół, w Galicji 12, kwart. 2 k. 50, w innych częściach na str. 1. w okolicach 20 k. 20, na innych częściach na str. 1. w okolicach 20 k. 20. Za pojed. N-ru bez dod. powieść. k. 15. Za dołąc. ogłoszeń i t. d., jednorazowo 20 k. 20, łącz. ogłoszeń i t. d., jednorazowo 20 k. 20, oprócz opłaty poczt. (1/2 k. od 1 futa kład. egz.) i kosztu przes. do Petersburga.

BUREAU Administracji i Redakcji ul. Kamienka 26 28, m. 28. Redaktor lub jego zastępca przyjmują interesantów we wtorek, czwartki i soboty od godziny 6—8 popołud. Adres dla listów i telegramów: Petersburg «Kraj». Opłata za przesyłanie: w Petersburgu: Administracja «Kraj», w Warszawie: Kantor «Kraj», ul. Ogasta 2. Zagran. agencje: w Lwowie, Krakowie i Poznaniu w księgarniach.

Petersburg, dnia 22 listopada (4 grudnia) 1891 roku.

KWESTJA AGRARNA.

Petersburg, 20 listopada.

IV. Zanim przystąpimy do ostatecznego przedstawienia praktycznych postulatów, wskazanych przez p. Blocha ku rozwiązaniu kwestji agrarnej w Królestwie, wypada nam jeszcze zastanowić się, czy rozwiązanie to posiada finansowe i ekonomiczne podstawy? Jak widzieliśmy, w obecnych warunkach prawnospołecznych taka podstawa nie istnieje, jedyny albowiem pewny nabywca ziemi, t. j. własność mniejsza, nie posiada ani kapitałów ani pomocy, ażeby rozwinąć swoje nabywcze i produkcyjne siły odpowiednio do realnych zasobów; przypuściwszy jednak, że wytworzone zostały wszelkie ułatwienia finansowe i prawne (o czym niżej) ku nabywaniu, zachodzi pytanie zasadnicze, czy zasób tych sił ekonomicznych, ukrytych we własności mniejszej, odpowiednim jest wielkości zadania?

Poważne i trwałe uregulowanie stosunków rolniczych wymaga sprzedaży conajmniej miliona morgów, czyli, rachując przeciętnie, przeszło 60 milionów. Przypuszczając, że Towarzystwo pozostawi swą należność na sprzedanych gruntach i że należność ta w najlepszym razie wyniesie nawet 30 rubli na morgę, czyli w sumie 30 milionów, to i tak potrzeba jeszcze conajmniej 30 milionów, których oczywiście drobni, a w obecnych stosunkach jedyni, nabywcy nie mają. Zkądże wziąć te pieniądze?

Zapominać wszakże nie należy, że kontyngens nabywców w Królestwie, to nie są proletariusze, pozbawieni wszelkiej własności, ale że posiadają oni w swej masie olbrzymie obszary nieodłużonej ziemi. Ogółem drobna własność włościańska i niewłościańska, objęta i nieobjęta ukazem, liczy w Królestwie około 11 milionów morgów, czyli jestto *fundum* aż nadto wystarczające dla zabezpieczenia owych 30 milionów w formie długoterminowej hipotecznej pożyczki. Autor przytem wykazuje, że nawet przy obecnych urządzeniach kredytowych istnieją podstawy do rozwinięcia działalności na wielką skalę. Przedewszystkiem drobna własność, nie objęta tabelami likwidacyjnymi; t. j. taka własność, która może być objektem kredytowym dla Towarzystwa (z ograniczeniem minimum pożyczki do 500 rs.), już w r. 1878 liczyła 67,698 właścicieli, posiadających 1,231 tysięcy morg. Od r. zaś 1878 ruch parcelacyjny rozwijał się z wielką siłą i wielu włościan musiało dokupić znaczne przestrzenie

gruntów. Ponieważ zaś wedle ustawy Towarzystwa, może ono udzielać pożyczki (zawsze w minimalnym rozmiarze 500 rs.), na osady, których część składa się z ziemi kupionej, a część z nadanej, przeto niewątpliwie, że znaczna część *ziemi nadziałowej* w myśl przytoczonego paragrafu może być zastawem dla pożyczki Towarzystwa. Wreszcie ustawa upoważnia Towarzystwo do udzielania pożyczki na osady ukazowe, o ile takowe obejmują przynajmniej 90 mórg, takich zaś osad jest, wedle obrachowania autora, tyle, że na same gospodarstwa chłopskie, 90 mórg przenoszące, Towarzystwo udzieliłoby mogło przeszło milion rubli. W sumie więc nie ulega żadnej wątpliwości, że podstawy finansowe, a raczej kredytowe, dla rozwinięcia akcji parcelacyjnej istnieją.

Ale rodzi się naturalne pytanie, jeżeli istota rzeczy sprowadza się do przepchnięcia ciężaru długów z jednych obszarów na drugie, albo do rozłożenia tegoż ciężaru na większe obszary, a nie do spłacenia tychże ciężarów, to z kąd pewność, że ciężar ten nie pognębi tak samo drobnej własności, jak pognębił większą, z kąd pewność, że długi te będą się umarzać lub nawet tylko stosunkowo zmniejszać, a nie wzrastać, przecież rozważając rezultaty parcelacji dotychczasowej, doszliśmy do wyników przynajmniej wątpliwych, jeżeli nie ujemnych, z kąd więc pewność, że przyszła parcelacja da rezultaty lepsze?

I tu znowu dla odpowiedzi zasadniczej na powyższe pytanie, przypuszczamy istnienie wszelkich przyjaznych warunków prawnospołecznych (o czym niżej), i przystępujemy do rzeczy.

Tylko takie rozwiązanie kwestji agrarnej możemy ze stanowiska ściśle ekonomicznego uważać za korzystne, które powiększa majątek społeczny, t. j. w danym razie wartość ziemi. Źródłem wszelkiej wartości jest praca, otóż wartość ziemi wzrośnie u nas o tyle, o ile się więcej w nią włoży pracy, czyli, inaczej mówiąc, kwestja agrarna powinna być rozwiązana tak, ażeby większa niż dotychczas ilość pracy ludowej zaabsorbowana została przy ziemi. Jakkolwiek niejako uznanym przymiotem naszego włościanina jest pracowitość, nie ulega wszakże wątpliwości, że lud nasz pod względem zdolności i umiejętności w pracy ustępuje o wiele zagranicznym sąsiadom. Głęboki znawca stosunków miejscowych, p. Ludwik Górski, podkreśliwszy rozmaite wypadki zapotrzebowania ludności, zagranicznej w rolnictwie, w przemyśle, w budowie dróg, powiada¹⁾:

«Wszystko to dowodzi, że ogólnie biorąc, niema jeszcze w kraju przeludnienia roboczego i dla pracy ręcznej braku zarobków; wło-

¹⁾ «Stan i ekonomiczne potrzeby małej własności ziemskiej», (Niwa 26 22 r. b.)

skować raczej można, że ludność, z zarobku żyjąca, małorolna czy bezrolna, nie nauczyła się jeszcze u nas pracować i zarabiać tak, jak pracuje i zarabia gdzieindziej».

Objaśnienia tego faktu szukać przedewszystkiem należy w przeszłości pańszczyźnianej, która przyzwyczaiła lud wiejski do niedbałej pracy.

«Co więcej — powiada dalej p. Górski — pańszczyzna przyczyniła się do zaszczerpienia we włościanach fałszywego o pracy pojęcia. Przymus pracy odbierał jej właściwą cechę moralnego obowiązku; ona, która uszlachetnia i podnosi człowieka, przedstawiała się włościanom, jako wynik uciemnienia i poddaństwa. Praca i wolność były, w ich mniemaniu, dwoma przeciwnymi sobie pojęciami, tak dalece, że jak przymus ustał, zniknął w ich umyśle moralny obowiązek pracy. W tem usposobieniu zastała włościan wielka reforma społeczna, Najwyższym ukazem z r. 1864 zaprowadzona. Sposób, w jaki ten doniosły akt władzy prawodawczej został wykonany, nie przyczynił się tak szybko i w tym zakresie, jak przewidywać było można, do zmiany nawyków».

Charakterystycznym następstwem tych właściwości ludowego charakteru jest ten fakt, że u nas zasoby pracy włościańskiej przewyższają o wiele pole, dla tej pracy istniejące. Włościanie na przykład małorolni nie zdają sobie sprawy z tego, że drobna własność, którą zostali obdarzeni, nie jest w stanie zapewnić im środków utrzymania, ale że celem jej jest dać im pewną podstawę do ekonomicznej niezależności, ztąd wynika rozpowszechniona w tej klasie niechęć do zarobków, bądź na folwarkach, bądź gdzieindziej.

«W innych krajach, mianowicie w Niemczech, pisze znów cytowany autor, taki małorolny włościanin zwykle porucza żonie swojej staranie o dzieciach i zarząd małego gospodarstwa, a sam, bądź jako rzemieślnik, bądź jako wyrobnik, szuka zarobku po miastach i fabrykach, poczem wraca do domowego ogniska z zarobionym i zaoszczędzonym funduszem. U nas przykład podobny nader rzadko się zdarza».

Dalej osady, względnie zamożne, idą na zarobki tylko wyjątkowo, a ponieważ zasoby ich siły ekonomicznej przewyższają obszar posiadany, przeto znaczna ilość pracy marnuje się bezużytecznie.

Jedyna forma pracy, której lud nasz poświęca się z całym nakładem swych sił i zdolności, jest praca na własnym gruncie. To nam tłumaczy, dlaczego niektóre, racjonalnie pomyslane operacje parcelacyjne, są możliwe nawet wówczas, gdy włościanie przystępują do nich zupełnie bez kapitału. Cały albowiem zapas pracy, jaki wkładają w nowo-nabyte grunty, nie znalazłby innego zastosowania, czyli w tym wypadku cała praca, włożona w ziemię, przychodzi *darmo*. W dziele p. Blocha znajdujemy wiele cyfr potwierdzających, a *posteriori*, ten wniosek i kilka przykładów rzecz ilustrujących; przytaczamy z nich jeden:

«Włościanin posiada obecnie 5 mórg, pragnie zaś nabyć 5 mórg sąsiednich, w jakim celu zwraca się do instytucji kredytowej i zabezpiecza wziętą pożyczkę na przedem posta-

danej i przykupionej ziemi, co da mu możność otrzymania ra. 800, czyli po 60 za morgę. Przypuśćmy nawet, że cena szacunkowa wynosiłaby po 80 rubli za morgę, pozostałoby więc 90 rubli do rozłożenia na dalsze spłaty. Uprawa tych dodatkowych 5 mórg, w przewidzianej wielkości wypadków, nowego posiadacza nie kosztować nie będzie. Wcześniej do pracy wstanie, później z pola zejdzie, może i mniej się wywczasuje podczas dnia, ale ziemię uprawi i plon zbierze. W takich warunkach czysty dochód z ziemi bardzo średniej wartości wyniesie przeciętnie z morgi 16 rubli, a zatem nabywca powiększy swój dochód przynajmniej o 80 rubli rocznie.

W innych warunkach możnaby rozwiązanie kwestji agrarnej powierzyć czasowi, t. j. oczekiwać, aż lud nasz nauczy się pracować intensywnie nie tylko na własnej roli, że zgromadzi w ten sposób oszczędności i samodzielnie przystąpi do akcji na wielką skalę. Ale, pomijając całą wątpliwość gromadzenia oszczędności drogą pracy własnej, zauważyć należy, że czasy przesilenia, czasy groźnych przełomów, czasy bankructw nie usposabiają do długich oczekiwań i że przyszedł ostatni czas, ażeby ująć w ręce własne i odpowiednio pokierować ruchem parcelacyjnym. Ponieważ lud umie pracować tylko na własnym gruncie, należy mu ten własny grunt w odpowiednich warunkach dać, a wyzwolenie tych drzemiących w nim zasobów siły ekonomicznej, zrealizowanie tej «potencjalnej» pracy włościańskiej, powiększy społeczny majątek w ziemi, t. j. jest właśnie ekonomiczną podstawą dla wskazanego rozwiązania kwestji agrarnej, jak zużytkowanie gruntów włościańskich w formie obiektu kredytowego jest jej podstawą finansową. Przechodzimy teraz do szczegółów.

Kilkakrotnie w ciągu niniejszego sprawozdania podkreśliliśmy, nieustannie przez p. Blocha wskazywaną, konieczność postępowania świadomego, to jest doskonałej znajomości przyczyn przesilenia rolniczego, oraz sił i zasobów

ewentualnej akcji ratunkowej. Znajomość ta da się uzyskać jedynie przez przeprowadzenie ścisłych a zupełnych badań statystycznych. Ogrom zadania jest wszakże taki, iż tylko jedyna w kraju instytucja może mu podołać, a mianowicie, Towarzystwo kredytowe ziemskie. Przedewszystkiem leży to w dobrze zrozumianym zakresie obowiązków i zadań tej obywatelskiej instytucji. Bardzo słusznie powiada autor:

«Cywilizacyjny i ekonomiczny rozwój społeczeństwa rozszerza z biegiem czasu zakres obowiązków Towarzystwa. Zachodzi coraz pilniejsza potrzeba, aby ono działalnością swoją objęło całość rolnictwa krajowego. Każda albowiem instytucja, pragnąca zapewnić sobie przyszłość i trwałe uznanie, powinna działalność swoją stosować do wolań rosnących i zmieniających się potrzeb społeczeństwa».

Powtóre, Towarzystwo po temu największe środki ma i możność, a charakter jego nie tylko mu na badanie stanu rolnictwa pozwala, lecz nawet do tego niejako zniewala. Ani komitet statystyczny urzędowy, ani projektowany wydział przy warszawskim Towarzystwie popierania przemysłu i handlu, nie rozporządzają ani takimi środkami, ani takim składem urzędników, z powołania niejako uzdolnionych do statystyki rolniczej, jak Towarzystwo kredytowe, a nadto prace komitetu nosić będą z natury rzeczy charakter naukowy, nie zaś praktyczny. Badania statystyczne muszą być naturalnie rozciągnięte na wszystkie rodzaje własności ziemskiej, więc naturalnie i na posiadłość drobną. Naturalnie, nie obejdzie się bez trudności. Systematyczne, poprawne i wyczerpujące zbieranie cyfr jest u nas niemal nieznaną. Wypadnie przewyciężyć wszystkie trudności nowatorstwa, trzeba będzie pokonać wszelki opór siły bezwładności, zanim maszyna da się ustawić, pocznie prawidłowo działać i przekona ludzi o dobrodziejstwach światła. Gdzieindziej przekonano się o tem oddawna.

Nie mówiąc już o Europie, dość przejrzyć całe tomy prac statystycznych, wydanych przez zarządy ziemstw gubernialnych w Cesarstwie, które to prace, mówiąc nawiasem, bynajmniej nie pociągnęły nadmiernych kosztów. Właśnie też p. Bloch stara się wykazać, że i przeprowadzenie takich prac przez Towarzystwo kredytowe wielkich nakładów nie wymaga.

«Większość urzędników Towarzystwa składa się z ludzi, obeznanych z gospodarstwem rolnem. Niemożność pracowania na własnym warstacie, nie wyklucza bynajmniej ani wiadomości, ani zdolności do ocenienia stosunków rolnych w kraju. Przy siłach, obecnie posiadanych, dla dokonania w krótkim przeciągu czasu badań niezbędnych, potrzebne byłyby jeszcze tylko jakieś wydatki nieznaczne na rozchody poboczne. Ale Towarzystwu środków ku temu nie zbraknie i zresztą znaleźćby można i nowe źródła całkiem pewnych wpływów. Już same dochody z rozszerzenia operacji przez wydawanie pożyczek drobnej własności, pokryłyby wielokrotnie dodatkowe wydatki na dokonanie prac omawianych».

Badania statystyczne stanu i potrzeb rolnictwa naszego mają przytem doniosłość pod jednym jeszcze, niezmiernie ważnym i praktycznym względem. Zgromadzone cyfry stanowią albowiem niezmiernie potężny arsenał środków, za pomocą których dają się wyjednywać rozmaite społeczne korzyści. Bez wątpienia bardzo wiele jest u nas kwestyj, niejako powszechnie uznanych i potrzeb zrozumianych, które jednak nie znajdują zadośćuczynienia prosto nie ze złej woli, ale z naszych własnych błędów taktycznych. Wyjednywanie u władzy na całym świecie, nie tylko u nas, rozmaitych ustaw i rozporządzeń w interesie społecznym wymaga pewnej umiejętności, pewnej taktyki, pewnego przystosowania się. Tymczasem u nas ta mianowicie taktyka jest w wielkim zaniedbaniu. Otóż p. Bloch, który sam niejedno praktycznie przeprowadzał, podkreśla jeden bardzo ważny błąd w dotychczasowych

ODCINEK „KRAJU”.

SITECZKO.

OBRAZEK
ELIZY ORZESKÓWEJ.
(Dokończenie).

Biegnę i już przez okno przedpokoiku widzę, że śliczna karetka przed drzwiami mieszkania stoi, przy niej konie czarne, takie duże. Wpadam do tego pokoju, aż w przedpokoiku słyszę srebrny, donośny głosik:—Czy tu suknie szyją?—Tu, tu!—odpowiadam i drzwi na oścież otwieram, a na progu, cała w sobolach, tak jak wtedy, staje Bronia. Kiedym ją tak zblizka zobaczyła, kiedy ona swojemi turkusowemi oczyma na mnie spojrziała, zapomniałam o długim niewidzeniu się naszym, o tem, że ona teraz wielka pani, o wszystkim... zawołałam: «Bronia!»—i rozplakałam się. Ona zdziwiła się bardzo, bo wcale mnie nie poznała, ale kiedy jej powiedziałam imię i panięskie nazwisko swoje (z okolicy szlacheckiej rodem jestem, proszę pana), zaraz przypomniała sobie naszą dawną znajomość, i ręce na szyje

mi zarzuciwszy, ucałowała mnie serdecznie. Całując, i kiedy na tej oto kanapce ją sadzałam, ciągle śmiała się i mówiła:

— A moją ty Kazimiero, jak ja dawno ciebie nie widziałam! Ot i nie spodziewałam się takiej siurpryzy! A moją ty, duszyczko! Co? to ty suknie szyjesz? Ależ postarzałaś! Gdzie twoja dawniejsza talja podziła się! No, ale oczy to takie same, jak były! Jaka ja rada, że ciebie widzę, i że to ty suknie dla mnie będziesz szyła! Tak dużo różnych rzeczy potrzebuję! Ale najpierwej, to mnie kostium na bal maskowy zrobić musisz, potem dwie suknie: jedną ze szlejfem, a drugą krótką, matinetę też prędko, prędko mieć muszę...

Porwała się z kanapki, do drzwi do przedpokoju skoczyła:

— Michali Michali rzeczy z karety tu przynieść! prędzej!

Cały magazyn ze sobą przywiozła. Czego tam nie było! Materje różne, koronki, wstążki, tiule, kwiaty, aż w pokoju od tego zrobiło się ciasno.

— Masz zurnale?—Sporo mam zurnali mój i wszystkie przed nią położyłam. No, byłoż to, było, wybieranie, przebieranie, dobieranie, medytowanie, kombinowanie, aż poty na mnie wybljać zaczęły. A ona nie! Jak ryba w wodzie. Kontenta taka,

że, zdaje się, tyle skrzydeł ma, ile kolo niej gałganków leży. Już ja spokojna—mówi—że ty to wszystko ślicznie zrobisz. Mnie znajome panie mówiły, że ty ślicznie robisz i bardzo ciebie rekomendowali, tylko, że powiedzieli mi inną jakąś familję...

— Po mężu tak się nazywam...

— A! za męża poszłaś! No, i ja poszłam! ale żebyś wiedziała jak! Kochał się on we mnie, i ja w nim kochałam się tak... że prosto okropność! Pokażę ci go kiedy. Piękny mężczyzna! Jeszcze wtedy, kiedymy się pobrali, na takiej posadzie on nie był jak teraz, ale zawsze dobrze nam już było... teraz, no! Przyjdź kiedy do mnie, zobaczysz, jaka u mnie rozkosz! No, duszyczko, przyjdź koniecznie.

Pocałowała mnie znowu kilka razy.

— Ale co będzie z temi koronkami? za wazkie, prawda? Może sama znajdziesz szersze. No, a ten kostium? to już tak, jak my umówili się...

Słucham, odpowiadam, doradzam, przywierzam, a ciągle czekam, kiedy też ona o swoim starym domu, o ojcu, o różnych dawnych znajomych wspomni. Miała przecież mnóstwo znajomych i z wyższego stanu, i z niższego. Pewno zapyta się: czy żyją? gdzie są? jak im się powodzi? Gdzie tam! O nikim i o niczem nie wspomniała.

staraniach u rządu; oto mianowicie brak cyfr i brak informacji. Brak cyfr szkodzi np. w załatwieniu tak ważnej kwestji, jak kwestja serwitutów i szachownic. U nas każdy znawca stosunków rolniczych organicznie niejako rozumie i czuje wadliwość tych pozostalości, ale co innego rozumie samemu, a co innego wlać to przekonanie osobom trzecim, ze stanowiska swego zobowiązanym do ostrożności. Wywód słowny będzie tu zawsze niedostateczny. Tymczasem, jak powiada autor:

«Wykaz cyfrowy, że służebności szkodzą kulturze, że ani gospodarstwa włościańskie, ani dobra wiekaze postępu zrobić nie mogą, bo są akrepowane więzami, które z naturą samą własności rolnej zgodne nie są; że wreszcie korzyść z pastwisk i służebności leśnych jest dla włościan stosunkowo bardzo mała, a straty nieodpowiednio duże; wykaz taki nie wywołalby może przymusowego i natychmiastowego zniesienia serwitutów, ale prawdopodobnie wpłynąłby na to przynajmniej, że oświadczenie się prostej większości w gromadzie obowiązywaloby i resztę włościan».

Przedewszystkiem jednak podjęcie i przeprowadzenie badań statystycznych, koniecznym jest jako wstęp do otwarcia najpotrzebniejszej i najpilniejszej operacji, t. j. kredytu dla małej własności ziemskiej. Kwestja ta nie od dzisiaj jest przedmiotem szczególnej troskliwości władz Towarzystwa i stoi na czele programu jego działalności, wbrew posądzeniom głosów, istotnego stanu rzeczy nieświadomych. Oddawna już władze Tow. pragnęły dobrodziejstwem taniego kredytu hipotecznego obdarzyć własność drobną. Tylko, jak to autor wykazuje w bardzo ciekawym szkicu historii odnośnych starań, popełniono pod tym względem wiele błędów taktycznych, a przedewszystkiem opuszczono moment najodpowiedniejszy w r. 1862, tak że gdy odnośny projekt, wypracowany przez komitet Towarzystwa, został przesłany komitetowi urządzającemu, towarzyszyła mu bardzo charakterystyczna opinja ówczesnego przed-

stawiciela rządu w Towarzystwie, generała Giecwicza, który, konstatując jaknajlepsze chęci Towarzystwa i właścicieli ziemskich, względem udzielania pożyczek na własności drobne, ze swej strony mniemał, że wszelki w tej mierze projekt byłby przeciwnym «obecnemu położeniu w guberniach nadwisiańskich». Skutkiem tego ustawa Towarzystwa zawiera dotychczas niestanowcze i sprawy nie rozstrzygające postanowienia.

Nie kusząc się wszakże o zasadniczą zmianę pod tym względem ustawy, możnaby, zdaniem autora, najnaglejszym potrzebom obecnym zaradzić, gdyby: 1) udało się obniżyć minimalną normę pożyczki do rs. 300; 2) usunąć bardzo wiele formalności, które czynią kredyt Towarzystwa przy małych pożyczkach zakosztownym. Nie wdając się w szczegóły, podnosi np. autor, że biura dyrekcji szczegółowych mogłyby same załatwiać niektóre formalności, potrzebne przy zaprowadzaniu księgi hipotecznej, w gruncie rzeczy bardzo łatwe i proste, ale dla wieśniaka, zaledwie umiającego czytać, zbyt skomplikowane, a następnie strącać poniesiony nakład przy wypłacie pożyczki jednorazowo lub częściowo, przy ściąganiu rat. Zresztą, wszelkie szczegóły i środki obmyśleć i wprowadzić w czyn najlepiej potrafią same władze Towarzystwa, byle tylko zajęły się naserjo tym przedmiotem, naprzód teoretycznie, a potem praktycznie.

Gdyby, wbrew oczekiwaniom, nie udało się wyjednać odpowiedniego rozszerzenia operacji Towarzystwa, w takim razie, zdaniem autora, należy, albo założyć dla Królestwa polskiego bank ziemski, na zasadzie ustawy normalnej, wydanej dla całego państwa, albo współdziałać jednemu z czterech banków ziemskich, dobijających się o rozszerzenie swej działalności na Królestwo. Bez taniego kredytu dla własno-

ści najdrobniejszej społeczeństwo obyć się nie może, a im dalej, tem się stosunki pogarszać będą i pomoc zbyt późno przychodząca, będzie mało skuteczną. Banki ziemskie wprawdzie biorą nieco wyższe odsetki niż Towarzystwo, ale przedewszystkiem udzielają i 300-rublowych pożyczek, powtórę mają prawo udzielać pożyczki pod zastaw fabryk i domów w miastach i miasteczkach, udostępniają więc możność nabycia ziemi drobnym mieszczanom zazwyczaj z powołania rolnikom. Słowem, w ten czy inny ze wskazanych sposobów, kwestja kredytu długoterminowego dla własności drobnej, musi być w bardzo krótkim czasie rozstrzygnięta, stanowi ona bowiem najważniejszą dźwignię do ocalenia rolnictwa z obecnego upadku.

Nie zmienia zaś i nie zmniejsza tej potrzeby działalność banku włościańskiego w Królestwie, ponieważ instytucja ta w myśl ustawy proteguje specjalnie nabycie spółkowe lub nawet gromadzkie, które z wielką trudnością dają się w stosunkach Królestwa urzeczywistniać, powtórę, że oddziały banku włościańskiego muszą o wszystko zwracać się za każdym razem po zatwierdzenie do Petersburga, co niezmiernie procedurę opóźnia i wreszcie, a co najważniejsza, potrzeba kredytu dla własności drobnej jest tak wielką, że i dla dwu instytucji, szczególnie różnych co do zadania i sposobów postępowania, nie zabraknie roboty.

Ale nie dość jest ożywić ruch parcelacyjny przez zorganizowanie odpowiedniego kredytu dla własności drobnej, potrzeba jeszcze świadomie ruchem tym pokierować.

«Proces parcelacyjny—powiada autor—samójstny, naturalny, bezplanowy, może pokaleczyć gospodarstwa większe i porodzić nowotwory, całkiem do życia niezdolne. Zamiast wczesnego ratunku i uregulowania interesów mążyć się będą subhastacje, wywłaszczania; dłużnicy popadają z hypotek, a dawni właściciele znajdują się na bruku bez wszelkiej pomo-

Dużo mówiła mi o swoim szczęściu, o tem, że ją mąż bardzo kocha i pieści, że ma dwoje ślicznych dzieci, że tam, gdzie dotąd z mężem mieszkała, bawiła się doskonale, że tu także, choć miasto jest niewielkie, bardzo wesoło jej czas przechodzi...

Niesmiało zapytałam:

— A mama?

Zasmuciła się.— Nie żyje już, duszeczko, w junji pięć lat się skończy, odkąd nie żyje. Ale w wygodach ostatnie jej lata przeszły, niczego jej nie brakowało, w chorobie najslawniejsi lekarze ją leczyli...

Spojrzała na zegarek, krzyknęła, że już późno, i z wielkim pośpiechem futro wkładając, mówiła, że dziś będzie na prozonym obiedzie, że jutro kawalerowie wyprawiają dla dam ogromny kulg, że synek jej zupełnie do ojca podobny, a córeczka do niej, że kostium powinien być za tydzień gotowy, i że ja mam przyjść do niej koniecznie, koniecznie...

Poszłam. Kiedy trzeba było przymierzyć ten kostium, nie poszłam z nim panną Róży, jak to czynię zwykle, ale poszłam sama. Było to już o zmroku, na wschodach jej mieszkania jasno i pięknie, jak w kościele. Lampy przy ścianach, dywan pod nogami, tu i tam marmurowe wazony z szerokiemi, zielonemi liśćmi.

Parada. Zadzwońlam. Drzwi otworzyły się zaraz i jak wiatr z podwórza przez otwarte okno, buchnęło na mnie z mieszkaniem, jak grzmot głośnie: cha-cha-cha! cha-cha-cha! Ale niedługo słuchałam, bo ani obejrzałam się, kiedy naksztalt pilki odskoczyłam aż do samej prawie poręczy wschodów. To lokaj we fraku i w białych rękawiczkach tak grzecznie mię oedrzwiał usunął i palcem w dół ukazując, ze złością i pośpiechem krzyczał:—Przez czarne wejście! proszę isć przez czarne wejście! Takem się, proszę pana, za ten kulał lokajski, co mię odepchnął, rozziłościła, że byłabym może coś bardzo niegrzeczne powiedziała, lub i zrobiła, ale usłyszałam tylko trzaśnięcie drzwiami, i już fagasa tego przedemną nie było. Przez dwie minuty może stałam, trzęsąc się z gniewu, ale potem machnęłam ręką i poszłam czarnego wejścia szukać. Znalazłam i weszłam do pokoju, w którym ze trzy wystrojone służące siedziały, a między niemi, na szczęście, jedna znajoma, pocziwa dziewczyna. Ta zaraz mię do sypialnego pokoju zaprowadziła i pobiegła lokajowi powiedzieć, aby pani oznajmił. Przez zamknięte drzwi słyszę gwar wielki; same męskie głosy, między którymi jej srebrny głosik dzwonił a dzwonił.

Czasem rozmawiają tylko, a czasem za zamkniętymi drzwiami jak grzmot bucha i toczy się: cha-cha-cha! cha-cha-cha!

W sypialnym pokoju różowo i srebrnie. Łóżka rzeźbione, gotowalnia w koronkach, jak w śniegu, jedna wielka lampa pod zasłoną pali się na gotowalni, druga, mniejsza, w kącie pokoju błyska. Rozglądam się, przypatruję, aż raptem, ktościś, jak obejmie mię rękoma z całej siły, jak okreci mna po pokoju, niby w walcu, jak zacnie mnie całować w głowę, w twarz, w uszy, to tylko już obie lampy, jak iskry przedemną migotały, a w uszach dzwoniło: cha, cha, cha! cha, cha, cha! I co pan powie? sama zaczęłam śmiać się, taka ucieczna ona była i śliczna. Co tam działo się przy mierzeniu kostiumu, tego panu i opowiadać nie będę. Tysiąc pociech. Bardzo była z niego zadowolona, a kiedy napowrót ubrała się w swoją codzienną sukienkę i pokładła na siebie wszystkie swoje broszki, paski, bransoletki, mówi do mnie:—Staj tu, duszeczko, a ja drzwi trochę otworzę i pokażę tobie mojego meza i mój salon!

Zrobiłam jak kazała, bo nie tyle salonu, ile meza bardzo byłam ciekawa. Piękny, nie ma co mówić: piękny męczyzna, wspaniały. Ryzawy blondyn, wysoki, z re-

cy. Należy zatem dążyć do wytworzenia instytucji, któraby się stała pośrednikiem pomiędzy dwoma pierwiastkami wzajemnie się potrzebującymi, instytucji, któraby ułatwiała z jednej strony właścicielom większym regulację hipotek i unormowanie jednostek gospodarczych, z drugiej zaś strony — nabywanie lub dzierżawienie ziemi rolnikom drobnym, nie mającym kapitału, lecz posiadającym duży zasób sił i zdolności do pracy produkcyjnej».

Instytucję taką musiałby być projektowany przez autora bank parcelacyjny. Ażeby jednak dokładnie określić program przyszłej działalności takiego banku, należy i tu przedewszystkiem przeprowadzić ankietę finansową na gruncie. Należałoby np. rozestąpić odpowiednie kwestjonariusze ze stosownymi rubrykami i następnie, na podstawie zgromadzonych wiadomości, wypracować kilka planów parcelacyjnych. Pokierowanie tego rodzaju badaniami znowu najlepiej przypada Towarzystwu kredytowemu, a przytem jego poparcie moralne i materialne (przez udzielenie w swych gmachach lokalów i personelu swych urzędników za dodatkową opłatą), jest koniecznym warunkiem dla założenia i rozwinięcia operacji projektowanej instytucji.

Ze, jak tylko sprawa stanie tak poważnie, kapitały się znajdują, to nie ulega żadnej wątpliwości. Parcelacja albowiem jest operacją tak zyskową i przytem przy odpowiedniej organizacji tak pewną, że kapitały same cisnąć się raczej będą.

«Dobry interes i potrzebę ułatwienia ruchu parcelacyjnego — powiada p. Bloch — zrozumieli oddawna spekulanci, ale naturalnie, myśleli tylko o zyskach. Tak się dzieć będzie, i tak się dzieć musi, jeżeli nieopatrzność ogółu pozostawi tak ważne zadanie w rękach jednostek mniej lub więcej udatnie dokonywających operacji. Ale źle się dzieje w społeczeństwie, które, żałując trochę fatygi, pozostawia wszystko na lasce losów, i najważniejsze sprawy swojego bytu oddaje w ręce spekulantów».

Nie chcemy rozszerzać i tak nad miarę długiego sprawozdania dziennikarskiego, wyliczaniem wielu jeszcze innych

środków pomocniczych, wyszczególnionych w dziele p. Blocha. Zresztą, w głównych zarysach program działalności ku rozwiązaniu kwestji agrarnej w Królestwie, sprowadza się właśnie do działalności dwóch instytucji: hipotecznej i parcelacyjnej, jako motora i regulatora a kierownika ruchu parcelacyjnego. W instytucjach tych, przy szeroko pomyślanej ich organizacji, dadzą się pomieścić wszelkie usiłowania indywidualne, one to mogą stanowić ów spójnik, który dopiero każdej akcji społecznej doniosłość nadaje. Wielkim ich przymiotem jest to, że wykwitają one niejako organicznie ze społecznego łona i że w granicach dzisiejszych kompetencji pozwolą u nas bardzo wielu jednostkom pracować zarazem i społecznie i realnie. Naturalnie, podobne instytucje, chociażby jaknajszerszej pomyślane i najpotężniej zasobne, są to tylko formy pracy, której doniosłość i skuteczność zależną jest od osobistych kwalifikacyj i starań tych, którzy te formy wypełnią, od społecznego ducha, który je ożywiać będzie.

«Potrzebna jest praca wytrwała — pisze pan Bloch — w zakończeniu swego dzieła, potrzebne jest światło wiedzy, wreszcie uczucie społeczne, gotowe do poświęcenia osobistych interesów interesom ogółu. Kto sądził, że ratunek spaść może nagle, niespodziewanie, w skutek jakiejś siły ukrytej, jakiegoś sposobu dotychczas nieznanego lub niepraktykowanego, ten nie rozumie natury bytu i rozwoju społecznego. Ratunek leży gdzieś daleko, po za szeregiem lat, po za wysiłkami pracy. Prowadź do niego powolnie ale nieustannie polepszanie stosunków, którego tylko samo społeczeństwo dokonać własnym mozołem może».

Dość jednak będzie dla jednego pokolenia pracowników, jeżeli zdoła ono postawić i rozwiązać kwestję agrarną, tworząc w ten sposób mocne podwaliny narodowego bytu i społecznego rozwoju.

Nie łudzimy się bynajmniej pod tym względem, że jeżeli można się tak wyrazić, współczesne ideały agrarne, t. j.

rozkolonizowana i urządzona własność chłopska i obok niej wzorowe 300-morgowe fermy ziemiańskie, jako przemagające typy form władania, — będą u nas ideałami ostatecznymi, ostatecznym rozwiązaniem kwestji agrarnej. Kwestja to równie wieczna, a przynajmniej równie długowieczna, jak samo społeczeństwo, i w miarę cywilizacyjnego rozwoju, muszą się zmieniać i agrarne ideały. Chodzi tylko o to, ażeby formy władania ziemią były jaknajbardziej dla społeczeństwa korzystne, tak pod względem ekonomicznym, jak i duchowym. Otóż nikt nie zaprzeczy, że formy, wskazane przez p. Blocha są, być może skutkiem młodszości naszego cywilizacyjnego rozwoju, dziś najodpowiedniejsze w naszych społecznych warunkach. Zrealizować te ideały, to właśnie zadanie najpoważniejsze chwili obecnej, a zadanie tem droższe i tem donioślejsze, iż nie przekraczające naszych sił i środków.

W. Ż.

Lamartine.

(Dalszy ciąg)

W tym nowym poemacie tkwi ten sam błąd zasadniczy, co w poprzedniej, poświęconej Byronowi, «Medytacji»: Lamartine nie dorósł do zrozumienia twórcy «Child-Harolda», uważając za treść jego istoty duchowej marzenia płonne i nieokreślone, choć nie pozbawione odcienia szlachetności. «Są istoty — mówi on, stosując słowa swoje do Harolda — tajemnicze, nieznanne, samotne, stroniące od blasku, od tłumów i od dróg pospolitych, bieg życia wydaje im się zbyt powolnym» — myśl, która, dodajmy nawiasem, wyraził Słowacki w «Królu Duchu» nierównie silniej: «Urągał mu ten świat cichością i biegiem, co jak zółw za słońcem chodzi». Są serca zamknięte dla świata, w których głos

koma, jak mleko białemi. Stał o kolumnę jakąś oparty i rozmawiał, temi białemi rękoma poważne gesty robiąc. Po tych gestach tylko poznać już było można takiego, co rozkazuje. A naokoło w salonie białym i złotym, aż ćmi się w oczach od ubrań mężczyzn, których ze dwudziestu może było. Jedni chodzą, drudzy stoją, siedzą, wszyscy rozmawiają. Gwar. Na stołach lampy, u ścian kinkiety ze świecami, posadzka błyszcząca, przy oknach firanki aksamitne, w malowanych wazonach kwiaty. Parada. Patrzę, słucham, a ona za mną stojąc, w samo ucho mi szepce: Widszaz, duszeczko, dziś u nas proszony obiad. Mąż wydaje go dla tych panów. Oni wszyscy włóczą się za mną i żeby nie wiedzieć ile kobiet było, ja u nich zawsze pierwsza, królowa. Mnie to bawi, ale jak tylko który zadaleko się posunie, zaraz się odemnie dostaje. Męża kocham, skandalu się boję, brudów nie cierpię.

Potem za rękę mnie wzięła i przez dwa pokoje, z których w jednym bawiło się z boną dwoje dzieci, do jadalnej sali przeprowadziła. Tam, oprócz długiego, nie nakrytego stołu, stał bufet, wokół którego kręcili się lokaje, i na ziemi srebrne wiaderko pełne lodu, z którego sterczały butelki z winem szampańskim.

Do bufetu mnie pociągnawszy, zaczęła mi kieszenie wypychać i kosć, w którym kostium jej się znajdował, napełniać przysmakami. Daremnie bronila się, gniewałam, prosiłam, aby tego nie robiła; naładowała mi mnóstwo pomarańcz, cukierków, ciastek, poczem znowu, wycalowała mnie, do gości biegła, ale w progu sali jadalnej spotkała się z małą córeczką, która, gdy na ręce wzięła, obie szczebiotać do siebie zaczęły. Ja zaś stałam, tego ich szczebiotania słuchałam, coćś nogi do ziemi mnie przykuło, i w oczach czułam szpilki. Kiedy przez sienie czarnego wejścia przechodziłam, znowu za jakąś ścianą, czy z za jakichś drzwi, jak wiatr z podwórza, buchnęło na mnie z tego mieszkania: cha, cha, cha! cha, cha, cha! Do domu wróciwszy, długo myślałam: a-a-a-a! a-a-a-a! hm, hm! i w oczach miałam szpilki, ale potem, pomyślałam sobie: a no! machnęłam ręką i poszłam kompresy choremu mojemu malcowi do nogi przykładać.

Potem, że trzy miesiące nie widziałam już jej wcale. Panna Róża chodziła do niej z sukniami, które była zadysponowała; ona zaś, za każdym razem mówiła pannie Róży, że niegraczną i nie-dobrą jestem, skoro sama do niej nie przy-

chodzi, ale że ona nie gniewa się i najpewniej, najpewniej do mnie którego dnia na długą gawędę przyjedzie. Nie przyjechała, a gdy wszystkie stroje były już zrobione i odniesione, znowu przestałam o niej wiedzieć i słyszeć. Nic dziwnego! Cóż ja wobec niej? Przytem — siteczko!

Dopiero przed kilku dniami, kiedy ciepło na świecie robić się zaczęło, przystała lokaja z pośbą aby panna Róża do niej przyszła, bo chce wiosenne suknie dać do roboty, a sama przyjechać nie może, trochę niezdrową będąc. Panna Róża zaraz poszła i przyniosła na początek fular francuzki, bardzo ładny i drogi.

— Prosiła — mówi do mnie panna Róża — aby suknia była za tydzień; dla przymierzenia zaś sama przyjdzie.

— A kiedyż chora — mówię.

— Ei — śmieje się panna Róża — jej choroba lepsza niż nasze zdrowie. Zobaczysz pani, jak ona wygląda!

I prawda. Kiedy dziś z karety wyskoczyła i tu wbiegła, myślałam, że to sama wiosna przez drzwi wlatuje. Zdaleka widział ją pan nieraz, ale trzeba ją znać tak, jak ja znam, aby osądzić, co to jest za cudowne wyglądanie! Przecież ma 30 lat, albo i 32, wiem o tem dobrze, a! któżby dał jej więcej nad 18, no... najwyżej 20?

szczęścia nie znajduje echa, serca pełne kontrastów i obce nam, życie ich płynie osobnym tożyskiem («Child-Harold» XXXV); życie ich jest snem smętnym, który się zmienia, ale nie kończy nigdy (Id. XV). Jednym słowem, tło duszy Harolda stanowią popędy, uniesienia, marzenia wznowia popędy, lecz mgliste i niepochwytnie, ale zawsze, lecz mgliste i niepochwytnie, więc płonne; w nich przeto trzeba szukać braku spójni pomiędzy bohaterem a ogółem ludzi, nie zaś w owej żądzy prawdy i sprawiedliwości, w owem sercu, którego Lamartine nie umiał dostrzedz w Byronie. Nic dziwnego, że bohater, pełny szczytnych popędów, ale bez określonych ideałów, nie znajduje nic, coby go wiązało z ludźmi, więc szuka pociechy w uczuciach osobistych, przebiera w tym względzie miarę i przestaje wreszcie wierzyć w miłość; w chwili wyjazdu do Grecji, w pożegnalnym monologu nad śpiącą kochanką, daje wyraz wątpieniu co do prawdy i siły jej uczucia; potem dziękuje jej, ale nie za szczęście, które mu dała, lecz za te krótkie rozrywki i zapomnienia, które przynosiły mu chwile rozkoszy z nią przebyte, odrywając zboląłą myśl od katuszy więzienia ziemskiego. (A zatem poeta francuzki nie wierzył nawet w szczerść i trwałość wzajemnych uczuć Byrona i Teresy Guiccioli). Ale Harold, choć przestał kochać, nie przestał jednak tęsknić do miłości; złe życie zużyło go, ale zarazem zniechęciło do uciech zmysłowych i popędy wznioslejsze przemówiły w nim z większą niż przedtem siłą; począł sobie wyrzucać dawny tryb życia swego: «Jestem szczątkiem przeszłości, który kala przyszłość»; pieśni jego świat darzył oklaskami, ale przestały go one nęcić; patrząc na groby Rzymu i Westminsteru, które z pobożnym uszanowaniem zwiedzali pielgrzymi, zatęsknił do sławy nieśmiertelnej: «Ze wszystkich próżności ta jest najmniej próżną»; zbyt jednak często w życiu swoim i zbyt namiętnie oddawał się marzeniom miłosnym, aby nie rozumiał, że wiecznie trwałym i pięknym jest tylko blask chwały, płynącej z poświęcenia siebie dla czegoś wielkiego i godnego miłości bez granic; nie pociągał go inny rodzaj sławy; tymczasem nie widział na ziemi nic godnego

miłości takiej—więc z rozpaczy poświęcił się dla ludzi, którymi gardził, dla snu zwodniczego, dla mary, dla tej wolności, którą ludzie wielbią, lecz po trudach długich zdobywają po to tylko, aby ją natychmiast odprzedać. Takimi to pobudkami miał się rządzić Harold, pędząc do Grecji. Nie wierząc w dobro, nie wierzył w Boga; kochał naturę, ale wielbił w niej jakieś *wszystko* tajemnicze, niezrozumiałe, wielkie, bezmyślne, ograniczone, dobre, złe, objawiające się w tysiącnych postaciach wszechświata, istotę bez określonych własności, siłę bez Opatrzności, rządzącą bezmyślnie... (X). Ponieważ jednak potęgą marzenia przerastał poziom umysłów ludzkich i czuł się samotnym na świecie, więc się odzywała w nim niekiedy tęsknota do Boga, pragnął marzenia swoje, błądzące bez celu po wszechświecie, skupić u źródła nieskończonej mądrości, miłości i mocy. Tę myśl o Bogu nasuwał mu przykład Sunium, związany z imieniem boskiego Platona, potem spotkanie ze świątobliwym pustelnikiem; wreszcie pobyt w monasterze naprowadził go na rozmyślenia o tych, którzy w tych murach spędzili swój żywot, oddaleni od wszystkiego, co pochłaniało umysły i żądze ludzkie, zajęci marzeniem jednym, wspaniałem—o Bogu; gdy miłość, sława, wiedza i inne przedmioty pożądań ludzkich, przelotną tylko rozkosz przynosiły ze sobą, w duszach tych samotników, płonących żądzą piękna najwyższego, nie wysychało nigdy źródło marzeń; snem cichym a błogim było ich życie, umierali, szczęśliwi nadzieją... Więc czyż imię Boga jest pustym tylko dźwiękiem?... Ale przewrotne formy, które cześć Boga przybierała u ludzi, odstręczały Harolda od wiary, wątpienia swoje niósł ze sobą do grobu; we śnie przedśmiertnym widział trzy pochodnie, świecące mu w wędrówce po ciemnościach zagrobowej krainy cieniów—pochodnie rozumu, geniuszu i wiary, ale pierwsze dwie świeciły światłem słabym, krótkotrwałym i gasły w początku drogi, trzecia zaś wyrzucała z siebie rześiste smugi promieni, lecz olśniewała wzrok Harolda, więc była mu równie mało pomocną; tymczasem bohater poety słyszał głos, z góry wołający:

Tu perdis à douter le temps fait pour agir.

Słowa te streszczają filozofję Lamartine'a. Wahanie się Byrona pomiędzy panteizmem a teizmem, poeta schwycił wierne, ale zanadto przesadził panteistyczne jego zapędy, zbyt zaś słabo oświetlił tę tęsknotę do Ojca Niebieskiego, która od dzieciństwa zapełniała serce Byrona. Podkreślając tylko marzycielstwo, jako rys jego zasadniczy, Lamartine dał wizerunek swego współzawodnika, nie pozbawiony podobieństwa, rażący jednak przesadą w cieniowaniu jego sceptycyzmu; pominałszy bowiem stronę sercową Byrona, autor «Medytacji» widział w tym sceptycyzmie tylko przesyt marzyciela, nie zaś zniechęcenie żołnierza, który w ogniu bojowym ujrzał się opuszczonym przez towarzyszy.

Jednym słowem, Lamartine naprótto silił się dorównać Byronowi. Już pierwszy krok był fałszywym. Poeta cichych tęsknot i snów błękitnych, nie zdołał objąć szerokich widnokręgów mistrza, którego głos, wraz z łoskotem wodospadów, niósł z nadchmurnych wyżyn słowa otuchy w serca tych, co się rwali do światła. Ale mniejsza o treść; biedniejszy od Byrona, Lamartine mógł jednak czarować wieczną pogodą swoją, słodyczą i rozjaśnieniem. Lecz formal pod tym względem był niemowliem wobec twórcy «Don Juana». Dzięki kilku przesłicznym «Medytacjom», stanął on w szeregu znakomych liryków, ale z innych utworów część znaczna mogłaby być zapomniana, bez ujemy dla sławy autora; właściwa zaś Lamartine'owi wada uwidoczniła się najwyraziściej właśnie w «Ostatniej pieśni Child-Harolda»; jest nią rozwlekłość, posunięta do ostateczności, niemiejętność powstrzymania zapędów, nie fantazji, jak u Shelleya lub Słowackiego, lecz tylko pióra; prawie zupełny brak ustępów, nacechowanych większą siłą uczucia lub lotnością fantazji; natomiast potoki słów pustych, nagromadzenie szczegółów luźnie związanych z całością, jednym słowem, zamiast szczerzego natchnienia, właściwa wszystkim niemal narodom romańskim skłonność do częstej retoryki. Zestawienie ustępów, poświęconych Grecji w obu «Child-Haroldach», rzuca dostateczne

Ozło gładziutenkie, jak u młodej dziewczyny, usta pąsowe, oczy błyszczące. I wszystko u niej takie foremne, giętkie, młodziutkie. Jakby ją nigdy nie ani ukłalo, ani uszczypnęło, ani zmroziło, ani upiekło. A przecież, proszę pana, tego klucia, szczypania, mrożenia i pieczenia tyle na świecie, że jak tu, zdaje się, wykręcić od nich? Wykręciła się i trzydziestkę minąwszy, ośmnastoletnią pozostała. Na wiosnę jeszcze kolorów, blasku oka i żywości ruchów jej przybyło, tak, że kiedy błękitny fular w różnokolorowe desenie do przymierzenia włożyła i w pracowni przed lustrem stanęła, wszystkie moje panny aż ręce poskładały i rozdziały usta. Bardzo była zadowolona z sukni, śmiała się i gadała.

— Duszczo, jak ty ślicznie tę suknię zrobiłaś! Jak doskonale stanik siedzi!

Ale za małe było dla niej lustro, co wisiało w pracowni; istotnie za małe, bo tak jest wysmukła, więc ją do tego oto pokoju, przez to stojące zwierciadło przyprowadziłam, ażeby już dobrze od stóp do głowy i naokoło obejrzeć siebie mogła. Oglądała się też ze stron wszystkich dobre kilka minut, chwaliła stanik, mówiła, że maż będzie ją w tej sukni bardzo lubił, bo faworytalnym jego kolorem jest

błękitny, a wykręcała się przy tem na wszystkie strony, figurę swoją oglądała, włosy poprawiała, bransoletami dzwoniła, kolczykami błyskała... raptem, podniosła troszkę oczy i wypadkiem na odbity w zwierciadle ten portret spojrzęła. Widzę ja to i myślę sobie: pozna ona ten portret, który niegdyś tak lubiła, czy nie pozna? Widzę: patrzy ciągle, ręce opuściła, o sukni zapomniła. Troszkę jakby pobladła, usta jej otworzyły się, potem rękę jak długą ku górze aż wyprężając, na portret pokazała i wymówiła: «Pan Stefan!» Pociachu to wymówiła, jak przez sen, bardzo już zbladła, i usta jej drżeć zaczęły.

— Co pani...—zaczęłam pytać się, ale nie skończyłam, bo ona oczu, które otwierały się coraz szerzej, z odbijającego się w lustrze portretu nie spuszczała, schwyła mnie za rękę i tak mocno ścisnęła, że ledwie z bólu nie krzyknęłam.

— Jak on na mnie patrzy!—zaszeptęła—jak on okropnie, jak on okropnie na mnie patrzy!

Troszkę cofnęła się, oczy rękoma zasłoniła i jak krzyknęła: «Tatku!» to aż mnie w samo serce ukłalo, aż podemną nogi zatrząsnęły się, a moje panny w pracowni usłyszały i wszystkie abległy się

tu przestraszone. Takim głosem krzyknęła, jakby stracha przed sobą zobaczyła, albo jak gdyby nagle ktoś nożem po sercu ją ciał, przytem zachwiała się, zemdlała, i ledwieśmy z panną Różą i z panem zapobiedz mogli temu, aby na ziemię nie upadła. Widziałeś pan, jak po otrzeźwieniu z omdlenia, gdyśmy w pracowni ją przebrały, przebiegła przez ten pokój taka blada, że aż usta jej były blade, że spuszczone oczy, prędko, prędko, niby od czegoś uciekając. Nie pożegnała się ze mną, na nikogo i na nic nie spojrzęła, o sukni to już, zdaje się, że zapomniła zupełnie. Moznaby myśleć, że ktoś raptem kolory z twarzy jej stari, powieki do oczu przykleił i zastrubował usta. Tak do karety wsiadła i pojechała. Ach, jak zmartwioną jestem tym wypadkiem! Ale co jej się stało? Jezus Marja! co jej się stało?—nie wiem, nie rozumiem. Może pan zgadniesz?

Oto i panna Róża sukienkę córeczki pana niesie. Już gotowa.

światło na niedościgłą dla Lamartine'a potęgę natchnień Byrona. Widok Grecji budzi w Byronie szereg rozmaitych, a zawsze głębokich uczuć i myśli: u stóp kolumn, mówiących o zamierzonych czasach walk bohaterkich, drzemie niewzruszony muzułmanin, albo śmieje się i śpiewa grek pusty! Ta ironja dziejów prowadzi go do rozmyślań nad znikomością pragnień i dążeń ludzkich; stąd myśli o śmierci, potem o istnieniu zagrobomem, tęsknota do zmarłych, rodzi w nim wiarę w życie przyszłe; ten nastrój rozrzewnia go, z tklwym smutkiem kochanka, płaczącego nad trupem narzeczonej, spogląda on na Grecję; każdy szczątek przeszłości wydaje mu się świętością, myśl o kradzieżach lorda Elgin wywołuje oburzenie i ból patriotyczny; antyteza umarłej Grecji i wiecznie tej samej, młodej i bujnej natury, prowadzi za sobą szereg dumań, pełnych uroczej melancholji; stąd tęsknota do dziejących marzeń o bohaterach Grecji, cześć dla plodów myśli i dla wiekopomych czynów narodu, który stał się wzorem ludzkości; wreszcie żal nad zwyrodnieniem dzisiejszej Grecji; w tych zaś rozmyśleniach ciągnęła różnorodność ironji i zapachu, oburzenia i rzewności, zbolalego sceptycyzmu i tklwej religijności. Jakże mizernie obok tego wyglądają opisy Lamartine'a! Mamy w nich albo lekkim sentymentalizmem zabarwione wyliczanie faktów — wielkość i upadek, świątynie zburzone, narody spętane, na ołtarzach Chrystusa kult proroka—albo gołą nomenklaturę,—tu Pindus, tam Alfeos, tam Styx, tam był Homer; jest, jak u Byrona, antyteza zmarłej Grecji i natury, ale antyteza nieudatna, przeciwstawiająca bowiem zmarłej przeszłości naturę też martwą, nieorganiczną—góry z wierzchołkami, ginącymi w błękitach; Byron dawał dowód większej delikatności zmysłu estetycznego, mówiąc o naturze żywej, o roślinach i łąkach, o pszczołach brzęczących na Hymecie; rozumiał on, że nie martwota ale życie jest antytezą śmierci. Z kilkudziesięciowerszowych roztkliwień nad Homerem, niepodobna wycisnąć ani jednej myśli; dopiero we wspomnieniu o boskich marzeniach Platona dźwięczy nuta rzewności i ciepła. Wreszcie, naprzekór różnorodności nut Byrona, ton u Lamartine'a jest zawsze jednostajnym, retorycznym, lekko sentymentalnym. Jednym słowem, byronowski Harold zestarzał się w rękę Lamartine'a, stracił moc i świeżość uczuć.

M. Zdziechowski.

W PRZEDDZIEN.

Pan sędzia ślał w fotelu, udając, że drzemie. Sam był. Z przyległego pokoju dolatywał brzęk talerzy i przekradały się resztki woni potraw, aby z dymem fajki, przed chwilą odłożonej i dogasającej, wejść w związek nierozdzielny.

Ale przewiew pędził je z kłębami dymu dalej, ku drzwiom przeciwnym, otwartym na oścież, a wiodącym na werandę.

Okna pokoju były przysłonięte; grube firanki jutowe dozwalały zaledwie domyślać się ich istnienia. Tem wyraźniej występował obraz ogródka, ujęty w ramy werandy.

Słońce rozlewało swą jasność na grzędy i ścieżki. Można by sądzić prawie, że to wiosna, gdyby nie żółte liście na ścieżkach, gdyby nie szarawy ton trawnika, różny od wiosennej zieloności, jak życie od śmierci—i gdyby nie te kwiaty smutne, pochylone, przysychające już i gnące się pod własnym nasieniem.

Pan sędzia od czasu do czasu otwierał oczy, patrzył w ów słońcem obłany, a mimo to dziwnie żalony, obrazek — i znów przymykał je, choć bynajmniej tego nie żądały. Nagle, odchyliwszy powieki, poruszył się niecierpliwie.

Widok ogródka stracił wyłączne cechy pejzażu, a przybrał natomiast charakter rodzajowego obrazka. Z uboczna nadossy ścieżką dwie postacie: młoda dziewczyna i mężczyzna.

Dziewczyna miała na sobie jasną sukienkę; twarzączkę jej pełną, rumianą, trochę może ogorzałą, rozkoszny okraszał uśmiech. Kapełusz trzymała w jednej ręce, drugą zaś oparła się o ramię swego towarzysza. Opowiadała coś żywo, tuląc się do niego i przerywając słowa od czasu do czasu śmiechem, jak np. w tej chwili.

Mężczyzna z zachwytem patrzył w twarz dziewczyny, pełną tego realistycznego uroku, który silniej nęci, niżli idealne piękno. Mówił mało; słuchał, jakby każdy dźwięk jej głosu, każde tchnienie jej oddechu pragnął wchłonąć w siebie.

Przeszli grzędą dalej, znikli i znowu nie widać było nic, prócz słonecznych blasków, zamierających kwiatów i pożółkłych liści...

Pan sędzia przymknął oczy, ale ruszał się ciągle w swym fotelu, jakby na kamieniach siedział, a nie na włosianej poduszce.

Sam nie wiedział, jak nazwać uczucie, które nie dawało mu spokoju. Inni ojcowie cieszą się przecie, wydając córki swe zamąż. Czemuż on tylko nie może wzbudzić w sobie radości, czemu tylko jego przejmuje gniewem, wściekłością, rozpaczą myśl, że Munia przejdzie z pod opieki ojcowskiej pod opiekę męża?

Ach, czy to o opiekę tylko idzie? W sercu, które tylko jego jednego kochało i które jedno, jedyne miał on na całym świecie, rozgościł się ten młokos z twarzą Romea, rozmarzonymi oczyma, starannie podkreconymi wąsikami, wyfryzowany, wystrojony, wypachniony...

Zienawidził go sędzia zaraz przy pierwszem poznaniu. Pod tą ujmującą pokrywką domyślił się złodzieja, który pozbawił go najdroższego skarbu.

Odkąd ciotka Filomena sprowadziła się do ich domu, bywało tu wiele młodych ludzi. O nich się nie bał. Były to postacie tuzinkowe, jeden podobny do drugiego, jak pajace z jednej i tej samej fabryki. Każdy tak samo nisko się kłaniał, tym samym oschłym tonem recytował parę grzeczności i parę niderzeczności, z tym samym apetytem zmiatał, co mu podano i z tą samą uniżonością dziękował za «mile spędzone chwile». Munia śmiała się do rozpuku po odejściu takiego gościa, a on, ojciec, z uciechą tajoną słuchał, jak go zapewniała, że chyba nigdy nie wyjdzie zamąż, bo nikt jakoś nie zdołał dotąd serca jej rozbudzić.

I trzeba nieszczęścia, że nagle zjawia się ten—ten niegodziwiec. Jaki djabeł go tu przysłał? Przyszedł, spojrzal, przemówił i wszystko skończone. Prawda, że to człowiek z innej, zda się, ulepiony gliny, niż tamci wszyscy; nie kłania się, jak maszynka, nie papla, jak papuga. W jego słowach zawsze tkwi sens pewien, a w jego zachowaniu się godność. Przytem te oczy,—takie smętne, marzycielskie, takie niepokonane!

Najgorzej, że niepodobna mu nie zarzucić. Przełożeni, prześcigając się w pochwałach jego zdolności i pracy, wróżą mu świetną przyszłość... No i doprawdy, już to rzecz niezwykła, aby chłopak w tym wieku, na takim znajdował się stanowisku, zwłaszcza bez protekcji, bez żadnej protekcji. Nie miał go nawet kto protegować. Od wczesnej młodości o własnych siłach pchał błądę, aż w walce o byt, w której tyłu ginie, nie się nie dochrapawazy, odniósł świetny tryumf.

Wszyscy patrzyli nań z podziwem i zazdrością. Nawet małomiasteczkowe osy chowają

przed nim swe żądla. Na tym chłopcu, jak na słońcu, plamy niepodobna dostrzedz.

To właśnie najbardziej oburza pana sędziego, to czyni go nieszczęśliwym. Gdyby choć jakieś drobne «ale» dało się wylapać, mógłby córce wybić moze z głowy zaslepienie. Leżani sposób.

Stało się tedy... Munia została narzeczoną. Ojciec, jak mógł, odwlekał termin zaślubin, w nieskończoność jednak nie dało się go odwlecz. Jutro opuści Munia ten dom, w którym była wszystkim, jak słońce dla ziemi.

Ojcowskie serce nabrzmiewa trwożą i gorąco. Jakiemże prawem zabiera mu ją obcy człowiek? Nie jestże to prosta grabież? — I nie masz przed nią obrony?

Gdyby to mogło odnieść skutek, padłby młodzieńcowi do stóp i błagałby: «Zostaw mi—ją poclechę, ocalodę mojej starości. Tyle przecie panien na świecie; znajdziesz piękniejszą, bogatszą, wykształcenszą. Czemuż mnie właśnie chcesz ogolocić z klejnotu, który lat tyle strzegłem jak oka w głowie!»

I staje mu przed oczyma cała przeszłość lat dziewiętnastu, wśród których Munia z niemowlęcia wyrosła na pannę. Widzi ją w pieluchach, na ręku matki, dniami i nocami huśtającej «bębna» na ręku. On z fajką w ustach przygląda się żonie i dziecku, Munia wyciąga doń rączkę, uśmiecha się—opuszcza pieluchy, urasta w dziewczynkę i sama zostaje, z nim tylko,—jak sierota. Odtąd ojciec przyjmuje na siebie oprócz własnej, rolę przedwcześnie zmarłej matki.

Boże, Boże!—czy ten, który zabierze jutro Munię wie, ile nocy bezsennych, ile trudów, trosk, obaw, nadziei, radości skupiało się do kola tej dziewczyny codzień przez lat tyle?

Była wątłą; lekarze, patrząc na nią, kiwali zawsze głowami. Życie takich dzieci na włosku. Trzeba nadzwyczajnej troskliwości, by wiotka roślinka zczerstwiała, by skazana na lichą wegetację z dnia na dzień, stała się zdolną do pełnego życia.

Opowiedzieć się nie da, co on dla niej robił. Żył tylko dla niej. Był jej nianką, żywicielką, sługą, nauczycielką, towarzyszką—wszystkiem. Stał się niewolnikiem dziecka, które kochał nierozumną miłością, bardziej niż siebie samego. On ją usypiał bajkami, on wodził po przechadzkach, on bawił, skoro tylko wolnej dopadł chwili.

Niegdyś, rozmiłowany w wygodach, dostatkach, poświęcił je dla tego dziecka. Od pracy zawodowej szedł do innej pracy, może cięższej jak tamta, ale milej, ponętnej nawet, bo swemu dziecku poświęconej. Ograniczał się w wydatkach, aby Munia miała podoostatkiem zabawek, sukienek, rozrywek. Oszczędzał przez rok cały, przestał chodzić do kasyna, palił gorzki tytuń, aby latem mógł ją wywieźć w górską okolicę.

Jakoż pieczołowitość niezmordowana dokazywała cudu. Dziewczę nabierało coraz więcej sił i zdrowia. Od dwóch lat rozwinęła się wspaniale; niktby nie poznał w niej słabiej istoty, jaką była dawniej. Zdrowie tryak formalnie z tych różowych buziaków, z tych kształtów rozkosznie, a w miarę pełnych, z tych oczu płonących blaskiem, o którym sądzićby można, że nigdy nie zgaśnie.

Jaki to tryumf dla niego, jakie szczęście, że wydarł ją niechybnej zagładzie i uzbrowił do najcięższej nawet na przyszłość walki...

Niestoty, długoż dano mu się cieszyć?

Jak ogrodnik, pielęgnował szepkę szlachetną, a kiedy dojrzały owoce, nagroda tyłu trudów—wysuwa się obca, zuchwała ręka, aby je zerwać...

Jutro! co za straszne jutro! Ubiorą ją w białą sukienkę, dadzą mirtowy wieniec na skronie, powiodą przed ołtarz i każą zaprzysiąć wierność i miłość na całe życie człowiekowi, który pożądlwym spojrzeniem, zdradzieckimi słowy odciągnął ją od ojcowskiego serca. Sam

Bóg nawet pobłogosławi tę kradzież. Zamęt porzywa jego rozszalone myśli; jak stado czarujących kawek snują mu się one po głowie, pisząc i skrzecząc...

A wśród tego brzmi ciągle jękiem dzwonów pogrzebowych, posępne słowo: Jutro! Jutro! Bo w istocie, nie jestże ślub dla dziewczyny pogrzebem, w którym sam jej oblubieniec odgrywa rolę grabarza?

W namyślnym uścisku pogrzebie on cały świat jej złud promiennych, całą czystość jej myśli, niewianość pragnień...

Wyobraźnia okazuje rozszalonemu córkę bez miłośników już i koronek, trwożną, a jednak płoczną od rozkoszy, chylącą się w rozwarte ramiona oblubienca, z ramieniem żądry na policzkach, z przymkniętymi oczyma, z ustami, wstrzymującymi oddech namyślny...

Widzi i czuje, że ta chwila zrywa ostatni węzeł jej przynależności do ojca, że odtąd cały świat jej w objęciu tych dwóch ramion, a on ginie gdzieś daleko po za ich obrębem jak schodząca gwiazda.

Wtem w pobliżu oswał się szelest sukienki i lekkie stąpanie...

Rozwari oczy. Po stopniach werandy wbiegła Munia, zarumieniona, uśmiechnięta, z wesołą piosenką na ustach. Pomknęła szybko do fotela i ucałowała ojca w czoło...

— Po to tylko przyszedłam — rzekła. A teraz, papo, ruszam dalej, bo nie mam czasu.

I jak widzenie promienne uchodzi napowrót z pokoju.

Pan sędzia zamysłony patrzy przed siebie w przestrzeń, w której ona znikła. Słońce, chyląc się, traciło swój blask jaskrawy. W ogródku za każdym badyłem, za każdą trawką ciągnęły się cienie długie, coraz dłuższe. Trawnik wyglądał teraz jeszcze bardziej szary i jeszcze mniej zielony. Wiatr szeleści monotonię; zrywa żółte liście, igra z niemi chwilę, a potem rzuca je na ścieżki i pomiędzy kwiaty suche, gnące się pod własnym nasieniem.

St. Rossowski.

Kartki ze Szwajcarii.

Jak się dzieci bawią.

Risbach, jedna z gmin, któremi narasta Zurych wzdłuż wschodniego pobrzeża swego pięknego jeziora, obchodziło w tych czasach «*Jugendfest*», święto dzieci.

Święto dzieci, to zawsze święto szkoły. Związek pomiędzy dzieckiem a szkołą jest w Szwajcarii tak ścisłym, iż łatwiej pomyśleć tu dziecko bez rodziców, niż dziecko bez szkoły.

«*Ein Schulkind*», to nietylko nazwa ucznia. To także tytuł obywatelski, to wyraz przynależności szkoły do dziecka, a dziecka do szkoły, to nazwa małego, ale już czującego wagę swoją szeregowca, pod chorągwią, która powiewa nad całym obszarem rozkwitającego życia. To wczesne, systematyczne, dopełniane umiejętnie przysposobienie dziecka na obywatela, jest tutaj jednym z najważniejszych, a zarazem najwładniejszych zadań szkoły.

Przestępując progi szkoły dziecko staje się odrazu uczestnikiem narodowego życia, to jest narodowych tradycji, oraz narodowych praw dla przyszłości. Zapis do szkoły jest aktem adopcji dziecka przez kraj. Tu on je przygarnia do siebie, tu ono uczy się garnać do niego. Jestto zarazem punkt, na którym dziecko po raz pierwszy podejmuje pewne publiczne obowiązki i uzyskuje pewne publiczne prawa, staje się jednostką spo-

łeczną i z ogólnej sumy rodzinnego życia występuje jako społeczna cyfra.

Cyfrы takiej szkoła nie lekceważy, choćby najdrobniejszej. Ztąd dziecko nabiera szacunku dla samego siebie i wyrabia w sobie poczucie odpowiedzialności. Płynię z tego, w pierwszej linii, dwójka, bardzo wyraźna w życiu i zachowaniu się dzieci korzyść: samodzielność i karność.

Na dalekich szwajcarskich przechadzkach spotkać tu można gromadki dzieci, które, nie dozorowane przez nikogo, walą środkiem drogi trójkami, wzięwszy się za ręce, i śpiewając chórem, idą tak sfornie, tak rzadnie, jak gdyby je prowadził surowy dozorca.

Ale je prowadzi tylko mała chorągiewka czerwona, z białym szwajcarskim krzyżem, chorągiewka, powiewająca na metrowym drążku, taka, jaką się tu dzieci po ulicach bawią.

Rzecz godna uwagi. Nie zdarzyło mi się widzieć w ręku dziecka szwajcarskiego żadnej z tych wstrętnych zabawek, jakie u nas dla pociech swych kupują ojcowie i matki. Nie zdarzyło mi się widzieć pajaca, ani bata. Dziecko, wybiegające się bawić, przewiesza na taśmie przez ramię podłużną zieloną blaszankę, z którą herboryzuje jak umie; bierze łopatkę i faczki do przesypywania i wozenia żwiru, klocki, z których stawia domki, kamyki, z których układa mozaiki, bierze łuk, wędkę, szczudła.

Nie widać też tutaj owych strojnych lalek, jakimi się zabawiają nasze dziewczynki. Tu lalka jest zazwyczaj także małym dzieckiem. Dziewczątka pierze dla niej, szyje, wozi ją na przechadzkę, popychając przed sobą mały wózek, który jej tyleż przynajmniej sprawia kłopotu, co i przyjemności. Tu lalka, to prawie już obowiązek. Najczęściej wszakże dzieci tu tejsze bawią się bez zabawek. Tworzą koła, gonią się, moczają, grają w lisa, w kokoszkę, albo — rozmawiają. Tak jest, rozmawiają.

Szczególna rzecz, jak u nas dzieci rzadko sobie mają co do powiedzenia. Jeśli ich nie obłożysz zabawkami, nudzą się i kwaszą.

Tu przeciwnie, umieją zejść się bez zabawek i rozmawiać z sobą. Nie mówię o starszych chłopcach i dziewczętach, ale siadzie sobie kilka pędraków drobnych jak owiesek i gawędzi. Naogół biorąc, powiedzieć można, że dzieci w Szwajcarii bawią się jak same chcą, i może właśnie dlatego umieją się bawić. Nikt im nie zaszczenia żadnej sztuczności w tym względzie. W kraju bon, nikt bon nie zna. Pochłania je eksport; w miejscu, z kąd wychodzą, niema na nie żadnego popytu. Dzieci bawią się same; zupełnie małemi opiekują się starsze i na tem koniec. Smianoby się tutaj szczerze, gdyby tak kto ze swobodnem szwajcarskiem dzieckiem zestawil nasze wykrygowane pani-enki i naszych wykrygowanych paniczów, za którymi krok w krok drepcze bona. Smianoby się równie szczerze, gdyby tak kto opowiedział o owych niefortunnnych i mocno niepedagogicznych prowadzaniach dzieci na tańce do Bagateli, lub o zapustnych balikach dziecięcych.

I tutaj dzieci tańczą, kiedy im przyjdzie ochota, ale nie *chodzą* na tańce, a to jest duża różnica. Tu dziewczątka nie ubierają do tańca w nowszą lub w piękniejszą suknię, loków jej nie zawijają na intencję baliku, nie kładą jej rękawiczek, nie mustrują, nie prowadzą w objęcia tancerza zarumienionej i z błajcem sercem. Tu nie zasiadają całą galerją patrzeć na

jej skoki; w «*Kurjerach*» nie piszą o niej, nie robią z niej widowiska. Tu dziewczątka tańczy jak dzieci, a nie jak damy.

Rzecz prosta, iż przy takim pojmovaniu, jak się dziecko ma bawić, kwestja, *gdzie* się ma bawić, rozwiązuje się sama niemal, bez żadnego szczególnego wyniku.

Dzieci bawią się tu albo przed domem, albo na ulicy, albo przed szkołą. Wolno każdemu postawić tutaj trzy wykrykni-ki, albo też trzy snaki-zapytania, ale niemniej tak jest w rzeczywistości. Rzecz ułożyła się sama przez się, a raczej ułożyły ją trzy przewatne względy: konstrukcja domów, tryb życia demokratyczny i stosunek dzieci do szkoły.

Oprócz kilku ulic, bardziej zbitych i oddanych handlowi na pastwę, nie ma w mieście tak lichego domostwa, przy którym nie byłoby choć małego ogródka, choć kilku drzew i grządek. Dziecko rodzi się tu wśród zieleni, jak ptaszę w gaju; ogródek przed domem jest jego naturalnem państwem, pierwotną i najbliższą areną jego igrzysk, które się tu odbywają na swobodzie, w pół w domu jeszcze niemal, a w pół po za domem.

Ale jak tylko dzieciak podrośnie trochę, zaraz przez parkan na ulicę wygląda.

Na ulicy bawią się dzieci grupami, biedniejsze i bogatsze razem, jak tam z sąsiedztwa wypadnie. Patrycjat miejski hoduje wprawdzie latorośle swoje trochę zamknięte po willach i parkach, zna on to z oprędających się w kokony jedwabników, z których fortuny jego powstały. Ale dzieci średniej klasy, dzieci urzędników, lekarzy, kupców, inżynierów, fabrykantów, bawią się na ulicy razem z dziećmi rzemieślników, praczek, szwaczek, wyrobników, posłańców i t. d. I nie wychodzi im to na niezdrowie. Do jednej chodzą szkoły, razem się uczą, dla czegożby razem bawić się nie miały? Tylko przynależność do tego lub innego okręgu miejskiego, do tej lub owej gminy, stanowi w pierwszych latach dziecięcego wieku o różnicy szkoły. Położenie materialne i stanowisko społeczne rodziców nie gra tu żadnej roli. Nauką «*z miłosierdzia*», w ochronkach nikt tu nikogo nie upokarza, nie trzyma na wyosobnionym poziomie. Wesołoby się też bawiono z owego nadpisu nad początkową szkołką przy ulicy Marszałkowskiej w Warszawie: «*Zakład wychowawczy dla dzieci rodziców zamożnych*». Napis taki sprawiłby tutaj ten sam prawie efekt, co ogrodzone miejsce z tablicą: «*powietrze do oddychania dla dzieci bogatych ludzi*». Kiedy się raz naukę uzna za element konieczny życia, to się z nią nie robi takich ceremonij; pojęcie równości wobec praw społecznych gruntuje się też tutaj bardzo wczesnie, jako jeden z najgłębszych pokładów narodowego życia. Prawda, że przy takim systemie nie mógł się tu wyrobić i ukształtować tak interesujący ze wszęch miar typ «*łobuzów*» i «*andrusów*», jakim się my znów chlubiemy, ten specjalny wytwór podmiejskiego powietrza Warszawy i nadbrzeżnych piasków Wisły. Prawda, że nie spotyka się tu tych romantycznie wyglądających przez dziury swych brudnych koszul i obszarpanych hajdawerów Antków, Wicków, Pietrków i Jaśków, które już tylu nowelistom napędziły jakiś szczęśliwy motyw do kartek, budzących tyleż prawie łez co i śmiechu. Prawda, że te dzieci są trochę ciężkie, trochę nudne, trochę pedantyczne, trochę zanadto pewne siebie, może nawet trochę za czerstwe, za porządnie na ogół obute, zbyt praktyczne, zbyt czujące się czemś na swoich śmieciach.

Andersen nie mógłby tu nawet pomyśleć swojej małej rozności zapalek, ani Dostojewski swojego urwisa, marznącego pod cudzym progiem w wigilję Bożego Narodzenia, ani Orzeszkowa swojego Tadusza, ani Dygasiński swojego Beldonka. Murillo nie znalazłby tu swoich obszarpańców, inni—tysiąca mniej więcej szarych albo zielonkawych sierot. Właściwie mówiąc, sierot tu wcale nie ma. Komu umiera ojciec i żywiciel, jest dzieckiem gminy. Może to nie jest bardzo malowniczym i bardzo romantycznym, ale za to daje widok zdrowych twarzy i wesołych oczu. A jak tylko nie jest nikt wyrzutkiem — dla czego dzieci bogatszych i biedniejszych ludzi nie mają się bawić razem—choćby na ulicy? U nas byłoby to zapewne niemożliwym teraz; ale tu ulica ma pewne poszanowanie dla dzieci. Szynki, we dnie przynajmniej, nie wybuchają taką sprośną wrzawą, po trotuarach nie mizdrzą się stale ich mieszkanki, wstrętne choroby i nędze kalectw nie wytrąsają tu swoich lachmanów. Ważne i to, że ekwipaże nie kursują tak, jakby były pożarnymi sikawkami i pędziły na sygnał z ratuszowej wieży. Ulica, to jeszcze tutaj dalszy ciąg domowego podwórka i ogrodu: to nade wszystko droga, którą krąży — praca. Wrażenia, z ulicy takiej zebrane, szkodliwe być nie mogą, zwłaszcza gdy miasto dobrze jest skanalizowanym i dziecko nie oddycha powietrzem zatrutem a potem szkoła. Szkoła nie jest tu postrachem. To jakby rozszerzony dom rodzinny. Pewna poufałość istnieje pomiędzy dzieckiem a szkołą. A potem, co tam miejsca wolnego, co cienia, co wróbił świergocących w kasztanach. Plac szeroki, przestronny, wyspany drobnym zwierzem, kilkanaście drzew cienistych, kilka ławek, źródło ujęte w wytrysk, bokami trochę kwiatów na obrębach trawnika — oto co jest przed szkołą. Co dziwnego, że plac ten nigdy pustym nie jest. Po nauce dzieci, naturalnym popędem, wracają się tu bawić, chociaż ich nikt nie napędza. Ale też żadne wrażenie przymusu obecności ich ztąd nie odstrasza. One szkołę swoją kochają; one czują, że i szkoła je kocha. A jeśli mówię: szkoła, myślę: ludzie. Widziałam tu raz starego nauczyciela na Hattingen, który, idąc ulicą, literalnie był obkoczony przez dzieciaki. Mało co go było widać z pomiędzy tych głów i główek. Drobne, ledwo od ziemi odrosłe bębny, podawały mu ręce po koleżeńsku niemal, ścisnęły kordjalnie jego suche, wychudzone palce, patrząc mu w oczy tem szczerzłotem spojrzeniem, z którego świeci wesoła i żywo czująca dusza. Pestalozzi dobre rzucił ziarno. I na szczęśliwą glebę. Zabawa przed szkołą tedy należy tu do najpopularniejszych. Tu się organizują najweselsze gry, wiążą najzawsze koła, brzmią najhałaśliwsze śpiewy.

Czy bardzo jest miło w pobliżu takiej szkoły mieszkać — to znowu rzecz inna; ale w tej chwili zajmuje mnie przede wszystkim to, że same dzieci uważają miejsce przed szkołą, jako naturalne terytorjum swoich zabaw i najodpowiedniejsze tło swego życia. A to jest mówiące. Otóż i teraz powód do uroczystości dała szkoła.

Do dwóch, jakie posiadało Risbach, przybyła trzecia, nowa, którą trzeba było poświęcić i oddać w posiadanie dzieciom. Było to ze wszęch miar podobne do obiadu nowego roju pszczoł w świeżo wyrobionym ulu.

Ale, chociaż rzecz sama dotyczyła jednego tylko okręgu, miasto całe wzięło

w uroczystości tak żywy udział, jakby szło o jakie ważne narodowe święto. Stary Münster od rana brzmiał we wszystkie dzwony, a zatoczono na wzgórzu nieopodal nowej szkoły działo, oznajmiało «święto dzieci» jedenastoma, trochę filisterskimi i trochę więcej dymu, niż huk, wydającymi strzałami. Ale były strzały.

Wnet dwie stare szkoły w Risbach, jako dwie kokosze, zaczęły gromadzić na swoich placach setki chłopców i dziewcząt; małe, duże, samopas, grupami szło to a szło, jak woda. Do miejscowej dzieciarni przyłączyło się niemało z innych gmin i okręgów miasta: każda szkoła dała tu kontyngens ogorzalych twarzy, czarnych i modrych oczu, oraz min od studjasków, jakimi się odznaczają tutejsze chłopaki, stanowczo od dziewcząt ładniejsze.

Były i tu pretensje, nie przeczę. Ale pretensje w najlepszym pedagogicznym gatunku, jaki pomyśleć można, w zakresie zadań takiej właśnie szkoły. Tak chłopcy, jak dziewczęta, reprezentowali sobą kolory i herby wszystkich ziem Szwajcarii, rozbici na tle trawników na pyszne grupy żółto-czerwonych, czerwono-białych, błękitnych, biało-zielonych, szaro-niebieskich, szafirowo-czarnych — i kto, kto ich tam pamięta jakich paniątek, pazików, w beretach z piórami, w pasach, wstęgach, z byczkami łbami na piersiach, jak Uri, z kluczami jak Unterwalden, z krzyżem na tarczy jak Schwytz, z mieczem, z gryfem, z niedźwiedziem, jak tam wypadło.

Stroje dziewcząt odpowiadały kolorem i odznakami ubiorom chłopaków; u wielu nad czarnym szwajcarskim gorsetem widniał na piersiach napis: «*Patrie et liberté*».

Obok kantonów wystąpiła «Stara Szwajcarya», grupa dzieci w dawnych rycerskich ubiorach, z czasów może Tella, może Morgartenkiej potrzeby. Warto było widzieć, jak się to buńczuczowało w swoich hełmach, ze swemi berdyszami, w swoich rzezanych narękawkach i bufiastych koletach, w swoich płaskich szerokich czapkach z powiewnymi piórami.

Ostatnią grupę stanowiły osobliwe, do dziś dnia przechowane po zakątach, ludowe stroje, z poszczególnych miejscowości i ziem szwajcarskich, od jeziora Baden do gór Jurajskich zebrane.

Malownicze krojem, wierne rysunkiem i barwą, nie wszystkie te kostjomy były równie bogate. Atlas i aksamit mieszał się tu z dreliszkiem i zwykłą kitajką. Nikt tu nie wyłączał biedniejszych, tych zaś, co przybyli w szarych swych codziennych kubraczkach, na nic lepszego zdobyć się nie mogąc, odznaczała szkoła sama. Co się który taki szaraczek pokazał, to mu zaraz wiązano przez pierś szeroką szarfę w narodowych barwach. A tak nikt się tu upokorzonym nie uczuł. Nie było też tu żadnych Lolusów, Miniów, Biniów, Heniów, Dziudziów i t. d., jakimi u nas rozmiękczały mamy mózg chłopcom w tem miejscu, gdzie ma być odcisnięta nazwa jego: człowiek. Tu wołano: Neuburg! Griesen! Aran! Genewa! Bazylea! Tessyn! — a grupy wywołanych kantonów zbiegały się i ustawiały karnie.

Bardzo ciekawy był widok, kiedy ten tysiączny przeszło tłum dzieci zaczął z muzykami swemi przez ulicę iść, każda grupa pod chorągwią swoją. Wyglądało to, jakby w pochód ruszyły grędy żywych kwiatów. Przewodniczyła im jasnowłosa Helwecja, w białej powłóczystej szacie i czerwonym republikańskim płaszczu. Ta niosła miecz i tarczę w jednej ręce, a palmę pokoju w drugiej; ale pomimo swej dostojnej roli, ani na chwilę nie mogła powstrzymać uśmiechu, który jej po ustach

latał. Był to ten rozkoszny uśmiech lat szesnastu, którym dorastające dziewczęta w pół wstydliwie, w pół radośnie przyjmują zwrócone na swą urodę spojrzenia.

Ale już nowa szkoła oczekiwała przybyśków, powiewając ku nim setkami ukwieconych chorągwi, i witając ich salwą niewinnych swoich wystrzałów.

Na szczęście, poświęcenie szkoły i mowy trwały krótko. Pokłoniły się dzieciaki nowej macierzy, złożyły na jej progach dębowe wieńce, zaśpiewały starą pieśń szwajcarską i zaraz się to wszystko rozlać zaczęło, mieniąc się kolorami, błyskając, szeleszcząc, «jakby stado gilów, siewek i szpaków, tysiącem kit i chorągiewek».

Po dwoje, po troje, po pięcioro, dążyły dzieci na kwatery swoje: obiadu w domu swoim żadne dźś nie jadło. Risbach przyjmował malców i zastawiał im stoły swoje, po domach zamozniejszych długie i szerokie, po uboższych skromniejsze. Nie chodziło tu o nakarmienie biednych. Dzieci się pomieszały, tak że panicykowi do stała się na gospodarze polewka i kawał wątroby, a szaraczek do zwierzyny siadał u nakrytego ważnem srebrem stołu. Tu chodziło o to właśnie, żeby się wzajem ugościć, nacieszyć, przemieszać w sposób jaknajbardziej wyłączności wszelkiej przeciwny, jaknajszczerzej demokratyczny. Gdzie komu wypadło, tam wchodził, pozdrowiał gospodarzy i chleb z nimi łamał. I było to chyba najpiękniejszym numerem programu zabawy.

Po obiedzie, wprost nowej szkoły i pod jej już skrzydłem niejako, na wzgórzu, zorganizowano igry i gonitwy dla dzieci. Huczało tu, jak w mateczniku, do wieczornej zorzy, a gimnastyka i kosze z podwieczorkiem uciszały na chwilę tę lub inną grupę, ale natychmiast zaczynało się to z nowym zapalem. Nauczyciele i nauczycielki bawiły się z dziećmiakami porówno: tak niegdyś nasz Piramowicz do palanta między żaki stawał. Znikła tu wszelka powaga, kantony pomieszały się z sobą, Helwecja nawet, rzuciwszy miecz i tarczę, uganiała się «w lisa», tego pytką bijąc.

Już całe Risbach gorzało od wieczornych świateł, a nowa szkoła stała w mieniących się ogniach na swoim wzgórzu, kiedy dzieci wpadły do miasta z hukiem i z szumem, jak lawina barw i dźwięków.

Nazajutrz, bardzo mądrze, dano im na lekcję, choć dzień powszedni był, ale majówkę w lesie, żeby miały czas przetrwać wrażenia zabawy po za ławą szkolną.

Marja Konopnicka.

Przymierze franko-ruskie w przeszłości.

Recueil des instructions données aux ambassadeurs et ministres de France, vol. VIII et IX: avec introduction et notes par M. Alfred Rambaud. Paris, 1891.

Okres dziejów nowożytnych od traktatu westfalskiego do rewolucji francuskiej 1789 r., pozyskał w ostatnich czasach nader cenne i poważne źródło w zbiorowym wydawnictwie francuskim, p. t.: «Zbiór instrukcyj, udzielanych ambasadorom i posłom Francji przy dworach zagranicznych». Ogłoszone w Paryżu przez specjalną komisję archiwów dyplomatycznych przy francuskim ministerstwie spraw zagranicznych, wydawnictwo to składa się już obecnie z dziewięciu grubych tomów, z których tom I dotyczy stosunków dyploma-

tycznych Francji z Austrią, tom II — ze Szwecją, tom III — z Portugalją, tomy IV i V — z Polską, tom VI — z Rzymem, tom VII — z Bawarią i Palatynatem, wreszcie tomy VIII i IX — z Rosją.

W swoim czasie «Kraj» zamieścił szczegółowe sprawozdanie z czwartego i piątego tomu pomienionego «Zbioru», opatrzonego obszernym wstępem p. Juliusza Farges. Także wstęp do ogłoszonych świeżo tomów ósmego i dziewiątego, sporządził obecnie p. Alfred Rambaud, jeden z gorliwszych wielbicieli i znawców Rosji tegoczesnej. Ponieważ p. Rambaud, mówiąc o próbach nawiązania bliższej zażyłości między Francją i Rosją w ciągu wieków XVII i XVIII, raz po raz, z natury samego przedmiotu, potrąca też i o dzieje dawnej Rzeczypospolitej polskiej, z tego powodu poglądy i wnioski, jakie autor wyciąga z surowego materiału archiwalnego, podwójnie tym razem interesować mogą społeczność naszą.

Najszerzy i najogólniejszy rzut oka p. Rambaud na główne dzwignie polityki międzynarodowej w latach od 1648 do 1789 potwierdza w zupełności zdanie, wypowiedziane niedawno w piśmie naszym z powodu prac Tatiszczewa i Vandala o Napoleonie I i Aleksandrze II («Kraj» b. r., № 33). Przed ukazaniem się na widnokręgu europejskim potęgi wszechruskiej, Polska stanowiła w kombinacjach dyplomacji francuzkiej jedno z cięższych ogniw owego łańcucha, którym Francja przedrewolucyjna pragnęła opasać i zdusić dom Habsburski, pretendujący do panowania nad światem. Po upadku i rozbiórce Polski, rola jej — naturalnie — przeszła w inne ręce; ale położenie ogólne zmieniło się niewiele. Dziś, tak samo zupełnie jak i dawniej, idzie francuzom o pokonanie «odwiecznego wroga», — tylko że wróg ten, który w epoce monarchicznej zwał się Austrią, dziś, w demokratycznym wieku XIX, nosi miano Niemiec zjednoczonych pod hegemonją pruską. Jakiegokolwiek byłyby hasła polityki obecnej, jest ona, jak i dawniej, mocowaniem się dwóch zapaśników: środka Europy z jej krańcami, zachodnim i wschodnim. Na krańcu zachodnim stoi za dni naszych, tak samo jak i po traktacie westfalskim — Francja; natomiast kraniec wschodni zmienił się doszczętnie. Na miejscu całego półkola starych sprzymierzeńców Francji: Turków, Polaków, Szwedów, wzniosło się jedno wielkie mocarstwo ruskie, które ich pochłonęło lub do nicości sprowadziło. W ramach węższych i w określeniu najłatwiej dla nas obecnie zrozumiałem, dzisiejszy związek franko-ruski, wymierzony przeważnie przeciwko Berlinowi, jest jakby odwzorem prastarych sympatyj franko-polskich, skierowanych niegdyś przeciwko Wiedniowi. Tym sposobem praca p. Rambaud, rozważana ze stanowiska francuzkiego, pochwala i interesuje o tyle tylko, o ile w sposób mniej więcej dosadny i niemal stylowo jaskrawy, uwydatnia: z jednej strony zanikanie na niebie wschodniem gwiazdy polskiej, a ze strony drugiej stopniowe rozpalanie się słonecznej tarczy państwa wszechruskiego...

Zaznaczmy nasamprzód, że słońce to wschodziło bardzo powoli i niezwykle wśród mgieł grubych, narażających dyplomatyczne obserwatorja francuzkie na nieustające i często bardzo niebezpieczne błędy w rachunkach politycznych. Co więcej, cały ten długi okres lat stu czterdziestu (od r. 1648 do r. 1789), przedstawia się na gruncie stosunków dyplomatycznych Francji z Rosją wyłącznie jako jeden nieprzerwany ciąg nieporozumień,

zawodów lub nawet otwartej nieprzyjaźni, z których dopiero pod sam koniec wyłania się coś w gatunku «zapowiedzi» przymierza. Zapowiedzi tylko, gdyż faktycznie, do właściwego sojuszu nie doszło, nie tylko w wiekach XVII i XVIII, lecz nawet, jak wiadomo, w XIX. Stosunki Rosji z Francją od r. 1648 do r. 1789 p. Rambaud dzieli na pięć oddzielnych periodów — i w żadnym z nich nie widzimy ani jednego brewna podwaliny do owego «związku przyszłości», o którym autor wyraża się z zachwytem takim, jak gdyby chodziło o odkrycie drugiej Ameryki. W periodzie pierwszym, trwającym do r. 1654, «Rosja (pisze p. Rambaud), zaledwie jest u nas znana i nie ma dla nas żadnego znaczenia politycznego». W periodzie drugim, od r. 1654 do r. 1726, kiedy Rosja, nabrawszy sił, zaczyna zaczepiać Turcję, Szwecję i Polskę, głównych ówczesnych sprzymierzeńców Francji, w jej walce z Habsburgami, w Paryżu nie tylko nie myślą o przyjaźni z «dalekiem księstwem wschodniem», lecz przeciwnie, uważają je za potencję, szkodliwą i wrogą. Kiedy w r. 1654 car Aleksy Michajłowicz, rozpoczynając z Polską wojnę trzynastoletnią, starał się przez posła otrzymać od Francji zapewnienie, że nie będzie popierał Polaków, Ludwik XIV poprzestął w odpowiedzi listownej na wyrażeniu swego «niezadowolonia» z napaści na Polskę i usilnie nakłaniał Aleksego do odstąpienia od swych uroszczeń. Zatarg Rosji z Polską załatwiony został pokojem w Andruszowie 1667 r., lecz stosunki Francji z carstwem, wzmocnionem przez nabycie Smoleńska i Kijowa, nie polepszyły się przez to bynajmniej. W periodzie trzecim, od r. 1726 do r. 1756, «Rosja — pisze p. Rambaud — otwarcie przechodzi do obozu naszych nieprzyjaciół, łącząc się raz po raz z Austrią i coraz energiczniej napastując Szwecję, Turcję i Polskę». Dopiero w początkach czwartego periodu, w r. 1756, odbywa się chwilowo tak zwany «przewrót sojuszków». Wskutek nagłego wzrostu Prus za Fryderyka Wielkiego, walka między Burbonami i Habsburgami ustępuje miejsca dość ścisłemu między nimi przymierzu, do którego przystępuje także i Rosja. Koalicja trwa jednak niedługo. Po śmierci cesarzowej Elżbiety, Rosja nie tylko opuszcza związek austro-francuzki, wymierzony przeciwko Prusom, lecz wchodzi z Fryderykiem W. w przymierze, którego ofiarą staje się w latach 1764—1772 Rzeczpospolita polska. Perjod ten zamyka p. Rambaud na r. 1774 słowami: «Dawni nasi stronnicy wschodni (Szwecja, Turcja, Polska), przestali edgrywać rolę, przypadającą im w systemie wieku XVII... Ich istnienie jest jeszcze potrzebnem dla Francji, lecz jedynie o tyle, o ile utrzymują równowagę na Wschodzie, same one jednak nie dość iż nie są użyteczne, lecz żeby istnieć, potrzebują całej pieczołowitości dyplomacji francuzkiej i całego uroku, jaki otacza króla Francji...»

(DOK. NAST.)

J. T. H.

SPUŚCIZNA PALEOLOGÓW.

W tomie X wychodzącej w Paryżu «Biblioteczki słowiańskiej», znany autor kilku opracowań historycznych o stosunkach Rzymu z Moskwą, p. Pirling, zamieścił nową, swą pracę p. t. «La Russie et l'Orient — Mariage d'un Tsar au Vatican — Iwan III et Sophie Paléologue». Niewielka ta książeczka usiłuje wyjaśnić, na podstawie źródeł archiwalnych, głów-

nie weneckich, nierozstrzygnięto podzielił pytanie: jakimi nadziejami kierowała się stolica apostolska, gdy po spełnieniu na niczem, w początkach wieku XV, uchwał soboru florentyńskiego, przyjętych i podpisanych przez metropolitę moskiewskiego Izydora, powtórzyła tę samą próbę, w końcu tegoż wieku XV, na innej drodze, a mianowicie wydając za cara Iwana III-go wychowanicę swoją, Zofję Paleologównę, wnuczkę wypędzonych cesarzów bizantyńskich.

Znakomity historyk Rosji, Sergiusz Solowjew, sprawę tę badał jedynie na podstawie podań latopisców moskiewskich, oraz dzieł tak powszechnie znanych, jak Rainolda «Annal. Eccles.» i Krautza «Vandalia». Opowieść jego o małżeństwie Iwana III z Zenaidą Tomaszówną Paleologówną przedstawia się w streszczeniu w sposób następujący (t. V, str. 66).

W r. 1467 umarła pierwsza żona Iwana, Marja, księżniczka twerska. We dwa niespełna lata po jej zgonie rozpoczęło się sławne staranie się cara o rękę księżniczki greckiej. Po upadku Bizancjum, brat zabitego na murach stolicy cesarza Konstantyna, Tomasz Paleolog, znalazł wraz z rodziną swoją przytułek w Rzymie. Zostawił on po sobie dwóch synów, Andrzeja i Manuela, oraz córkę Zoę, zwaną inaczej Zenaidą lub Zofją. Ową to córkę Tomasz Paleologa, wygnanego przez Turków hospodara Morei, papież Paweł II zaprzagnął wyswatać Iwanowi III za pośrednictwem kardynała Wisarjona, jednego z metropolitów greckich, którzy w r. 1439 podpisali akt unji kościoła wschodniego z zachodnim. W lutym 1469 r. przybył do Moskwy grek Jury z listem Wisarjona, w którym kardynał ofiarował Iwanowi rękę Zoi, zapewniając cara, że Paleologówna, wierna wierze swych ojców, odprawiła już z niczem dwóch pretendentów katolickich: księcia medjołańskiego i króla francuzkiego. Iwan III, po naradzie z metropolitą i bojarami, propozycję papieża przyjął i w marcu tegoż roku wyprawił do Rzymu niejakiemu «Jana Fiazina», włocho z urodzenia, majstra mennicznego, do Rzymu. Fiazin wrócił do Moskwy z portretem Zoi. Niebawem włocho wyjechał znowu do Rzymu jako reprezentant osoby carskiej i w charakterze tym odbył uroczyste zaręczyny z Paleologówną. Papież wielce pragnął dojścia do skutku tego małżeństwa, gdyż sądził, że tym sposobem zdoła przywrócić w carstwie moskiewskiem unję kościelną i pozyskać w Iwanie III dzielnego sprzymierzeńca przeciwko strasznyemu Turkom. Oto dla czego papież Paweł II i jego następca Sykstus IV chętnie wierzył wszystkiemu, co pomieniony Fiazin, ambasador Iwana III, prawił i obiecywał w imieniu monarchy moskiewskiego, — przyrzekając, ma się rozumieć, nawet to, do czego nie był upoważniony. Bądź co bądź, sprawa otrzymała obrót pomyślny: w czerwcu 1472 Zofja opuściła Rzym, a 1 października przypędził z Rewla do Pskowa goniec, niejaki Mikołaj Lach, z oświadczeniem, które wygłosił na wiecu obywateli pskowskich: «oto się zbliża, przepłynąwszy morze, najdosłojniejsza i najprzedniejsza pani, wnuczka Jana Paleologa, córka Tomasz, księcia Morei, bratnica cara Konstantyna etc...»

Ale już w Pskowie (pisze dalej Solowjew) ludzie spostrzegli, że narzeczona Iwana III nie zachowuje ściśle obrzędów cerkwi wschodniej. W czasie odwiedzin katedry św. Trójcy towarzyszył jej własny jej biskup, który (jak się wyraża latopisiec współczesny) «odziany był nie pó naszemu, cały w purpurze, w rękawiczkach, których nigdy nie zdejmuje i w nich ludowi udziela błogosławieństwa, niosą przed nim na wysokim drzewcu krucyfiks lany, a on do obrazów świętych się nie zbliża i ich nie całuje, ucałował tylko Matkę Boską i to na rozkaz carewnej». Biskup ten był legatem papieżkim, moskiewskie kroniki tamtego czasu mianują go «kardynałem Antonim», a jak wyjaśnia obecnie Pirling, zwał się on Antonio di Bonumbro, był kardynałem i biskupem na wyspie Korsyce.

Pomimo oznak szacunku i czolobitności mieszkańców Pskowa, Nowgorodu i dalszych miast, przez które wypadło przyjeżdżać carewnie Zoi, ambasadę papieżką czekał w Moskwie wód okrutny. Podczas gdy kawalkada narzeczony Iwana III, złożona z różnolitych by-

wiołów, greków, wiołów, niemców i żydów zbliżała się do stolicy carstwa; w murach jej odbywały się narady, które S. Solowjew temi słowy opowiada: «Zastanawiał się car Iwan z matką, bojarami i braćmi: co począć?—Wszędzie, gdzie się dotąd zatrzymywała Paleologówna, legat papieżki kardynał Antoni szedł przed nią, a na przedzie niesiono krzyż katolicki. Na radzie, jedni powiadali, że to nic, że można i w Moskwie na to pozwolić; inni zaś odpowiadali, że nie słyszano to rzecz aby w państwie moskiewskiem okazywana była cześć wierze łacińskiej, raz jeden uczynił to był metropolita Izydor (delegat na soborze florentyńskim), ale też i zginął za to marnie. Car Iwan III-ci posłał z zapytaniem do metropolity Filipa. Metropolita odpowiedział: «legatowi nie wolno ani wejść do miasta z krzyżem, ani nawet zbliżyć się pod jego mury; jeśli zaś ty, wielki książu, upoważnisz go do tego kroku, w takim razie, jak tylko legat wejdzie jedną bramą, ja, twój ojciec duchowny, wyniosę się zaraz drugą?... Wówczas Iwan III wysłał bojaryna z poleceniem, aby od legata krzyż odebrano i schowano do sań. Kardynał Antoni sprzeciwiał się początkowo, lecz wkrótce ustąpił. Ustąpił również, jakkolwiek nie bez żywego oporu, Jan Fiazin, pełnomocnik carski przy zaręczynach Zoi w Rzymie; przedaży ten wioch koniecznie pragnął, ażeby papieżowi okazane zostały w Moskwie wielkie honory, gdyż sam on w Rzymie był bardzo świetnie podejmowany; bawiąc w wiecznym mieście, pełnił on wszystkie obyczaje łacińskie, zataiwszy, że przedtem przyjął w Moskwie wiarę prawosławną. Gdy w ten sposób pierwsze trudności przeczyciono, Zofja Paleologówna, odbyła w dniu 12 listopada 1472 r. uroczysty wjazd do Moskwy i tegoż dnia zaślubiona została Iwanowi III według obrządku wschodniego. W parę dni później legat papieżki złożył nowożeńcom dary stolicy apostolskiej,—i o katolickich reminiscencjach młodej wychowawicy papieża Pawła II nie było już dalej mowy»...

Tyle o zaślubinach Paleologówny, sławny historyk Rosji S. Solowjew. Główną treść jego opowiadania praca Pirlinga wypełnia masą szczegółów drobniejszych, z których przytoczymy tu jedynie te, które uwydatnić pragnął p. Bulhakow, feljetonista literacki dziennika «Now. Wremia».

Dowiadujemy się najpierw od Pirlinga, że pomieniony pełnomocnik Iwana III, Jan Fiazin, który Paleologównę, w imieniu wielkiego księcia moskiewskiego, zaślubił w Rzymie, nazywał się Jan-Baptysta de la Volpe, urodzony w Vizenzy, awanturnik wielkiej ręki, który udawasy się w r. 1455 szukać szczęścia wśród obcych, mieszkał czas jakiś u tatarów nad Wołgą i przybył około r. 1460 do Moskwy. W kilka lat później kronikarze wielkiego księstwa moskiewskiego mówią już o nim jako o osobie zamożnej i wpływowej, mającej wstęp do dworu i w łaskach u cara Iwana III. Że w Rzymie Volpe udawał katolika, a w Moskwie prawosławnego, nie zdaje się to ulegać wątpliwości najmniejszej. W czasie zaręczyn, czy też ostatecznych ślubów Paleologówny, odegrał on dwuznaczną swą rolę z przebiegłością iście włoską. Obrzęd ten odbywał się w Rzymie z niezwykłą wystawnością. Obecni na nim byli: nieszczęśliwa wdowa ostatniego króla Bośni, Katarzyna, z czterema matronami serbakiemi, reprezentującymi wyznanie wschodnie i Klara Orsini z patrycjankami rzymskimi i florentyńskimi, reprezentującymi wyznanie rzymsko-katolickie. W chwili, gdy następowała ceremonia zamiany obrączek, Volpe zmieścił się nagle i oświadczył, że obrączki ze sobą nie przywiózł, w Moskwie bowiem, powiadał, zamiana taka nie jest wymagana w chwili zaślubin. Rzuciło to na Volpę gruby cień podejrzenia w oczach Syxtusa IV, trzeba jednak było udawać, że się ufa ambasadorowi, który wraz z obletnicą unji kościelnej przywiózł formalne zapewnienie pomocy w przygotowanej już wówczas wielkiej wyprawie na niewiernych Turków.

O inicjatorze małżeństwa, kardynale obrządku wschodniego Wissarjonie, Pirling podaje parę wiadomości nie mniej charakterystycznych. Był on mecenaszem i przyjacielem ojca Zoi, Tomasza, i zajmował się wychowaniem jego

dzieci. Pomimo jednak—(pisze p. Bulhakow, prawdopodobnie ze słów Pirlinga)—że Wissarjon był gorącym zwolennikiem unji kościelnej, według formuł przyjętych na soborze florentyńskim i zapewnających wyznawcom kościoła wschodniego, obok jedności wiary, autonomję obrzędową, nauczał on dzieci Tomasza żyć i postępować wedle reguł ściśle katolickich. Kazał im ubierać się jak łacinnicy, przykładać przed kardynałami, we wszystkim słuchać papieża. Czynił zaś to, oczywiście, w widokach politycznych. «Będziecie wszystko mieli—powiadał do dziatwy Tomasza—jeśli skrupulatnie naśladować będziecie katolików; w przeciwnym razie nie otrzymacie nic». Słowem, p. Bulhakow utrzymuje, że Zofja Paleologówna wychowana została jako córka kościoła rzymskiego. Nadto jest rzeczą najzupełniej pewną, że tron swój w Moskwie zawdzięczała ona stolicy apostolskiej. Koszta nawet podróży, wyprawy i podarunków ślubnych pokrył Syxtus IV ze swojej zakatuly, zaoferowawszy z niej i posąg oblubienicy: 6,000 dukatów. Nadto, za wiedzą ojca św., jeśli nie z jego woli, Zoa wnosila w panujący dom Rurykowiczów, jako spadek kądzielny: herb cesarstwa bizantyńskiego i prawa do panowania nad Konstantynopolem, wraz odebrania go Turkom. Z tem wszystkim, nie zupełnie się szczęściło kardynałowi Wissarjonowi w daleko sięgających planach wychowawczych. Zofja, jak zapewnia p. Bulhakow (zgodnie zresztą w tym punkcie z Solowjewem), zaraz przy pierwszym zetknięciu się z kościołem wschodnim w Pskowie, zapomniała o radach i namowach swego mentora i wróciła niepodzielnie na łono wiary prawosławnej. O wiele niefortunniej zawiódł się Wissarjon i na starszym bracie Zofji, Andrzeju: wrócił on do kraju pod panowanie tureckie i przyjął muzułmanizm.

Losy legata papieżkiego kardynała Antoniego Bonumbrego nie jasno przedstawiają się w opowieści Pirlinga (a raczej w streszczeniu p. Bulhakowa, dopełnionem bodaj z pism Solowjewa). Bawił on w Moskwie jedenaście tygodni i na własne oczy mógł się przekonać, jak dalece niezgodnymi z rzeczywistością były przechwałki ambasadora carskiego Volpęgo, który w Rzymie, podczas zaślubin, zapewniał, jakoby Rosjanie przygotowani byli do uznania nad sobą duchownej władzy stolicy apostolskiej i przyjęcia unji. Według świadectwa kronikarzy moskiewskich, legat papieżki został na głowę pobity w dyspacie publicznej o wyższości jednego czy drugiego wyznania. Przeciwnikiem jego był niejaki Nikita Popowicz. Solowjew dodaje, że moc argumentacji tego Nikity spoczywała cała w tem, że się powoływać mógł na księgi święte, które miał pod ręką; legat zaś, ilekroć wzywany był do złożenia dowodów na to, co mówił, wykręcał się tylko słowami, że «swoich ksiąg z sobą nie zabrał». Wolno wszakże się domyślać, że nawet w razie, gdyby je był zabrał, nie załapponowałby nikomu ich tekstem łacińskim. Cokolwiekby, spór nie miał złych następstw dla kardynała: wyjechał on z Moskwy spokojnie w d. 26 stycznia 1473.

O osobie samej Paleologówny p. Bulhakow nie przytacza z Pirlinga żadnych informacji. S. Solowjew, na podstawie kronikarzy współczesnych, zapewnia tylko, że Iwan III, od daty swego ożenienia się z Paleologówną, otaczał się zaczął pompą cesarzów wschodnich i wszystkich książąt udzielnych traktował jako zwyczajnych poddanych; on też pierwszy, na wiele lat przed prawdziwie groźnym wnukiem Paleologówny, otrzymał miano Groźnego, chociaż przymiot ten nadany mu został na kilka lat przed tem małżeństwem w czasie poskromienia Nowgorodu wielkiego i uprowadzenia w głąb państwa jego mieszkańców. Książę Kurbski, dość ogólnikowo, oskarża również Zofję o szkodliwe wpływy na swego małżonka. Jego zdaniem, zarówno jak i zdaniem innych bojarów i latopiszców tamtych czasów, obyczaj cesarzy bizantyńskich wyraził się za rządów samego Iwana III, jego syna Bazylego (z Paleologówny) i wnuka Iwana IV, czyli rzetelnego Groźnego, w tem głównie, że «odtąd panujący, zamiast odwoływać się do rady bojarów, wydawał rozkazy obmyślane samotrzeć u pościeli». Herbersteina, bawiający w Moskwie

za panowania syna Zofji, powiada o niej: «była to niewiasta niezwykle chytra». Z dalszego biegu dziejów państwa moskiewskiego, jasno przegląda, że chytra owa wystąpiła ze szczególną siłą podczas ważenia się pytania: kto ma panować po zgonie Iwana III: Dymitry, wnuk jego (z pierwszego małżeństwa), czy też syn Bazylego (z małżeństwa drugiego). Wytwarzyły się przy dworze dwa stronnictwa możne, walczące z sobą o przewagę jednej z dwóch zasad: starej oligarchicznej i nowej jednowładczej, wyznawanej przez Zofję. Gdy partja przeciwników Paleologówny upadła, upadek jej, (pisze Solowjew) był hasłem do szeregu rozpraw krwawych, których ofiarą stali się przedstawiciele wielu najstarszych galezi rodu rurykowiczów i giedyminowiczów. Oczywiście, że wszystko to w końcu opłaciło się sowiecie w wielkości, potędze i chwale państwa wszechruskiego.

J. Stekint.

LISTY DO KOLEGI.

Wychodzące w Petersburgu pismo «Bla-gowiest'», w zeszytce z d. 15 października r. b., zamieszcza poczęło szereg listów «polaka» do «kolegi rosjanina» pod ogólnym tytułem: «o rusko-polskich stosunkach». We wzmiankowanym zeszytce znajdujemy dwa pierwsze listy pióra p. A. B-kiego, który z racji dwóch artykułów gazety «Now. Wr.» i «Kraju», i wspomnień o powstaniu w Hercegowinie, powziął myśl wypowiedzenia swych poglądów.

«Polacy—pisze p. A. B-ki—rozpatrywani w całości, nietylko w stosunku do zachodnioruskich guberni, i w marzeniach swych nie sięgają po za równouprawnienie wszystkich narodowości i wyznają, t. j. zniesienie czasowych przepisów ograniczających, ale nawet co do Galicji wschodniej nie dają się unosić obecnej hegemonji tam pierwiastku polskiego i przewidują stopniowe jego ustępowanie przed wznoszącą powoli, ale bezustanku narodowo-ruską, albo, jak się oni wyrażają, rusińską większością. Dziś bynajmniej nie należy do rzadkości w polskich ustach tego rodzaju życzenie: «ach, gdyby Austria i Rosja zgodziły się na zamianę Królestwa polskiego na Ruś czerwoną!» Ma się rozumieć, że magnat polski, albo obywatel-szlachcic, siedzący na ziemi dziedzicznej w tej samej Galicji wschodniej, korzystający nietylko z obywatelskiej równości bez wszelkich «czasowych» ograniczeń, ale nadto korzystający z rozmaitych przywilejów stanowych, politycznych i narodowych—odżegnywa się od takiej myśli i gotów jej przeciwdziałać. Ale i tutaj myśli jego, słów i działania nie należy mieszać z nastrojem całego społeczeństwa, a artykułów jego organów nie należy uważać za wyrażenie chęci i uczuć całego narodu».

Autor w dalszym ciągu oświadcza, że «Now. Wrem», postępuje wręcz niesłusznie, przypisując «Czasowi» krakowskiemu znaczenie, jakiego organ ten, wiecznie przynoszący deficyty swym właścicielom, hr. Potockim i p. Popielowi, mieć nie może i nie ma. List drugi poświęca p. B-ki artykułowi «Kraju», w którym była omówiona polemika «Now. Wrem.» z «Czasem». P. B-ki zaznajamia swego przyjaciela z naszym pismem, przypuszczając, że ów przyjaciel «w gruncie rzeczy nie wie, co to jest właściwie «Kraj». Otóż, zdaniem p. B-kiego, «Kraj» był z początku pismem «demokratycznym», ale z czasem został organem obywateli dziewięciu guberni zachodnich(?) Zład p. B-ki wyprowadza wniosek, że «Kraj» w sprawie polemiki «Now. Wr.» z «Czasem» był wyrazicielem opinji pierwiastku polskiego. Autor listów przytacza ustęp z artykułu «Kraju», w którym zaznaczyliśmy, że formuła artykułu «Now.

nych na stan włościański. Ostatnie z tych zdań nie znalazło i znaleźć nie mogło przychylnego przyjęcia, wyszedł tu bowiem mówca z zakresu, do którego się ograniczył i dotknął jednej z «nietykalnych» w Austrii spraw wojskowych. Ważną kwestję poruszył poseł Podlaszecki w czasie rozprawy nad budżetem ministerstwa spraw wewnętrznych, żądając kontroli nad werbunkiem robotników przez agentów zakordonowych, szczególnie rumuńskich, którzy wyzyskują ludność powiatów nadgranicznych, przywłaszczając ich kilkumiesięczny nieraz zarobek. Wspomnieć też wypada o przemówieniu posła Brylińskiego, który żądał podwyższenia pensji gr.-kat. księżom, należącym do kapituł diecezjalnych i budowy domu dla biskupa w Przemyślu. Taką jest wiązanka dotychczasowych prac naszych posłów, działających w nader trudnych warunkach z powodu, że rząd, zajmujący wogóle wobec delegacji naszej stanowisko przychylnie, ma obecnie na oku szereg innych spraw, którym, według swego widzenia rzeczy, oddaje pierwszeństwo. Wobec niezdecydowanego dotąd układu stronnictw w parlamencie i ciągłych wahań się rządu, który, jak na komendę, zwraca się to w lewo, to w prawo, delegacja halicko-ruska niewiele mogła zdobyć i niewiele uczynić. Uczyniła wszakże ona wszystko, co było w jej możliwości, i tylko ślepe uprzedzenie stronnictwa mogłoby ją potępić.

Biskupi: stanisławowski i przemyski, ksiądz Kuitowski i ks. Pelesz, objęli już zarząd swych diecezji, powitani nader uroczysto przez ludność obu obrządków. W stowarzyszeniu akademickim, zwanem «Bractwo akademickie», zaszły nieporozumienia, z powodu iż zarząd, złożony z akademików tendencji radykalnych, nie chciał pozwolić, by przybyłe niedawno żywo umiarkowane, miały prawo głosu w zgromadzeniach. Wiedeńskie stowarzyszenie akademickie «Sicz», w łonie którego zaszły niesnaski skutkiem znanej awantury z p. Aleksiewiczem, obrało nowy zarząd, mający złądzić konflikt i spory. Prokuratorja zarządziła konfiskatę kalendarza, wydanego staraniem «Tow. im. Kaczkowskiego». Posłowie Romańczuk i Barwiński bawili we Lwowie w celu organizacji przeciwdziałania wpływowi nieprzyjaznym klubowi parlamentarnemu.

Luna.

LISTY Z PROWINCJI.

Wilno, 16 listopada.

[Stan Lidy. Szkółki rzemieślnicze. Gimnastyka].

Co się dzieje w miastach dotkniętych, oprócz braku żywności, jeszcze i kłeską pożaru? W Lidzie grasują tyfusy, szkarlatyny, dyfteryty; komitet ratunkowy, oprócz chleba powszedniego, tyleż musi starać się o leki dla chorych i ciepłą odzież dla marznących po szopach pogorzalców. Kwestja odbudowania Lidy nie może być załatwioną corychle z powodu decyzji władz gubernialnych, stanowiącej, że wszystkie budowle w Lidzie na przyszłość powinny być murowane. Komitet ratunkowy wszedł z przedstawieniem do zarządu dróg poleskich o zniesienie dla ludzi taniej za przewóz z Wilna materiałów murarskich. Mimo tak poważnej biedy, zasługuje na zanotowanie fakt ofiarności ludu tutejszego. Włościanie gminy Komaje święciańskiego pow., sami ubodzy i zagrożeni blizkiem wyczerpaniem zapasów żywności, na wezwanie swego pośrednika uchwalili dać z dymu po garncu żyta na rzecz głodem dotkniętych wewnętrznych guberni Cesarstwa i we własnych workach odwieźć zboże do najbliższej stacji kolei żelaznej.

Wileńska korporacja rzemieślnicza uchwaliła założenie dwóch szkółek dla czeladzi rzemieślniczej: chrześcijańskiej i żydowskiej; pieniądze zebrane drogą składek pomiędzy majstrami podobno już są w kasie zarządu rzemieślniczego, jednak zwleka się ta sprawa ze względu na niezdecydowanie, jakiego typu mają być te szkółki? Jest więc nadzieja, że młodzież rzemieślnicza wileńska wyjdzie niezadługo z tego stanu szwaczności, w jaki ja

wprawia barbarzyńskie obajście się majstrów dopóki są «uczniami», a następnie wyuzdana swawola, gdy się wyrwą na «czeladników». Bity, obdarty i morzony głodem do lat 18, po zdobyciu stopnia taki czeladnik wetuje swe przeszłe przywroce pijaństwem i rozpustą. Dnie świąteczne i następne po nich dwa, a nawet i trzy dni powszednie wleczą się od szynku do szynku pijane kupki czeladników z hałasem, śpiewami, z papierosami w zębach, z czapkami na tyle głowy; nie mają pojęcia, co to jest książka i co to jest zabawa po za szynkiem. W pewnym związku ze szkółkami rzemieślniczymi byłoby otwarcie przy lecznicy tutejszej sali gimnastycznej, gdyby zakład ten udostępnić dla młodzieży rzemieślniczej tyleż, ile dla młodzieży szkolnej. Całodzienne ślęczenie nad książką niemniej osłabia organizm niż sedenteryja z szydłem lub igłą, i godzinka gimnastyki byłaby niesmiernie pomocną dla zachowania równowagi młodych organizmów. Dotąd Wilno nie miało ani jednego zakładu gimnastycznego, nie licząc lekcyj gimnastyki od niedawna zaprowadzonych przy zakładach naukowych, lecz tam, jak dotąd, więcej swawoli niż nauki, zakład zaś obecnie inaugurowany przez fachowego nauczyciela, p. Żnińskiego, może rachować na popularność i przynieść dużo korzyści dla dzieci. Zmarł w tym tygodniu generał-lejtenant von Balkirch, były naczelnik wileńskiego zarządu żandarmerji. Nieboszczyk na tem stanowisku przebył od roku 1882 i cieszył się w sferach oficjalnych szczególnem uznaniem, pisywał do «Wileńskiego Wiestnika», pod pseudonymem «Teobald», drobiazgi różnej wartości.

A. R. Z.

Ponieważ gub. kowieńskiej, 4 listop.

[Kadencja sądowa. Rozpowszechnienie się krzywoprzysięstwa. Przyczyny tego smutnego zjawiska. Sprawy o fałszywe denuncjacje. Dramat rodzinny].

W tych dniach skończyła się zwykła kadencja jesienna sądu okr. kowieńskiego, z udziałem przysięgłych. Smutne wywarła ona wrażenie, dostarczyła bowiem znów kilka dowodów upadku obyczajowości wśród ludu. Mówię tu o rozpowszechnieniu się krzywoprzysięstwa i o świadomie fałszywych zeznaniach przed sądem. Na okoliczność tę zwróciły uwagę i władze sądowe. Przewodniczący w swych przemówieniach do świadków ostrzegał ich, a w resumé prosił przysięgłych o zwrócenie na tę kwestję bacznej uwagi. O rozpowszechnieniu krzywoprzysięstwa i prawdziwej instytucji fałszywych świadków wiedzą wszyscy. W Poniewiezu istnieje nawet karczma, zwana uprzednio «Hotelem Amerykańskim», w której zawsze można świadków wynająć. Chłopa skuć może do krzywoprzysięstwa albo pokątny doradca, albo żyd. Zwykłymi a skutecznymi środkami są traktament, pieniądze, niekiedy podbudzenie obrażonej miłości własnej lub uczucia zemsty. Znaną jest mściwość ludu litewskiego. Na gruncie jałowym plonki te nie wydałyby owoców, ale że owoce te są, muszą więc istnieć ogólniejsze przyczyny tego zjawiska. Mojem zdaniem—najważniejszą jest wielka ilość drobnych spraw chłopskich, zarówno w sądach ogólnych, jak i w sądach pokoju, a źródłem ich jest wadliwa organizacja sądów włościańskich. Prawując się, chłopci uciekają się do pokątnych doradców, którzy są bliżsi i tańsi, aniżeli adwokaci. Nadto biorą każdą sprawę i zawsze obiecują wygranę, rozumie się, nie przebijając w środkach. Ciemnota ludu, brak znajomości języka urzędowego, ustaw i przepisów prawnych, tudzież niedostateczne zrozumienie ważności i skutków fałszywej przysięgi, składanej przed urzędem, niewątpliwie wywierają wpływ ujemny. Dodać nadto należy, że upadek religijności wśród ludu, acz mały, osłabił jednak znaczenie przysięgi religijnej. Nie bez wpływu pozostało i pewne zdziwienie obyczajów, wyrażające się w braku poszanowania rodziców i starszych, w bijatykach, zemście i t. d. W czasie ostatniej kadencji rozstrzygano sprawę następują: chłopca skradziono krowę; poszkodowany oskarżył młodzieńców do sądnego pokoju, który skazał ich na 6 miesięcy więzienia; skazał apelował, ale sędzi apelację odrzucił. Złodzieje postępowali pół roku, i po uzyskaniu wolności natychmiast oskarżyli

okradzionego o podkup, a jego świadków — o krzywoprzysięstwo; ma się rozumieć — oskarżonych uniewinniono. Miał też w ubiegłej kadencji sąd do czynienia i ze sprawami o świadomie fałszywe denuncjacje; jedna z nich zasługuje na wyróżnienie: Mleaszczaanin pewien, rodem z pod Birt, oskarżył swego ojca o przestępstwa polityczne, przewidziane w art. 113 kodeksu karnego. Denuncjacja okazała się świadomie fałszywą i sam delator został skazany na rok więzienia. Rozstraszano też sprawę pewnego chłopca, który szarzał swoje dziecięce pierworodną, mającą tylko 8 tygodni. Matłonkowie, zaślubieni przed 1 1/2 r., żyli z sobą w przykładowej zgodzie, ale za to teściowa—kobieta złego życia—okrutnie przykładowała swego zięcia; chłop był cichy, pracowity i bardzo nabożny; z samilowaniem rozszytywał się on w modlitewnikach i dziełkach religijnych. W czasie jakiejś kłótni, stara wiedźma nie tylko spaliła jego ulubione książki litewskie, ale nawet strzaskała mu na głowie krucyfiks. Co zaszło pomiędzy nim a teściową niewiadomo, dość że ojciec nożem pchnął dziecko, znajdujące się na ręku babki, i sam się do winy przyznał. Ekspertyza lekaraka stwierdziła fakt chwilowego obłąkania. Uniewinniono go.

J. W.

Kijów, 14 listopada.

[Zima. Pobór wojskowy. Przedwczesne małżeństwa. «Na głodnych». Almanach-kalendarz. Kalendarz kijowski. Wypadki miejskie. Przyjazd senatora].

Zawitała nareszcie do nas zima, w całym znaczeniu tego wyrazu, z mrozami i obfitym śniegiem. Dniepr pokrył się powłoką lodową, a ceny materiałów opałowych odrazu w mieście podskoczyły. Po wsiach rozpoczęły się przygotowania do poborów wojskowych i całe szeregi wesołych włościańskich, jak zwykle poprzedzające post adwentowy, zwany pospolicie na Ukrainie «Pytypińka» (post św. Filipa). Zwyczaj żenienia się młodzieży włościańskiej, która ma odbywać powinność wojskową, na kilka miesięcy przed losowaniem, jest stanowczo szkodliwy i demoralizujący. Ożeniony włościanin idzie do wojska, żonę zostawia w domu, dokąd wraca po 4 lub 5 latach i naturalnie, najczęściej zastaje zbyt powiększoną rodzinę. Powstają ztąd swary, kłótnie, nawet zabójstwa. Interwencja duchowieństwa lub też władz gminnych mogłaby skutecznie powstrzymać te przedwczesne małżeństwa. Dotąd jednak niktogo to nie obchodzi, przeciwnie, rodziny włościańskie starają się drogą ożenku zapobiedz zupełnemu oderwaniu się od wsi i obyczajowi, oddanego do wojska syna.

Składki «na głodnych» sypią się ze wszelkich stron do ogólnej skarbnicy komitetów «głodnych»; wszystkie instytucje miejscowe, zarówno rządowe, jak i prywatne odeszły od pobieranej pensji przeznaczyły «na głodnych». Grono miejscowych literatów przedsięwzięło wydawnictwo zbiorowe — «Kalendarz-almanach», z którego dochód jak również dochód z zamieszczonych w nim ogłoszeń przeznaczono «na głodnych». Redakcją omówionego zbiorowego pisma zajęli się prof. Łuczycki, przy współudziale prof. Wł. Antonowicza, Malinina, Budurowa, Sikorskiego, Floryńskiego, Słowatyńskiego i in. Część literacka tego pisma ma nosić koloryt wyłącznie miejscowy; z przykładów zwraca uwagę przekład świeżej nowelki «Chochlik-Psotnik» Orzeszkowej. Papier i druk drukarnie miejscowe dostarczyły bezpłatnie. Dziwna, że obie gazety miejscowe przemilczają o wydawnictwie, podjętem w tak szanowanym celu! Byłaby to zażość inlejtatywy, wyległej po za obrębem kółek i obozów redakcyjnych?

W tych dniach ukazał się w sprzedaży, liczący już dziewiąty rok wieku «Kalendarz Kijowski» na rok 1892, wydany przez kierownika miejscowego obserwatorium astronomicznego przy uniwersytecie, p. Fabrycjusza. Kalendarz ten wyróżnia się wpośród innych kalendarzy kijowskich, szeregiem dobrze dobranych artykułów informacyjnych, oraz tem, że uwzględniła święta kościoła rzymsko-katolickiego, co choć w części zastępuje tak niegdyś popularne kalendarze, wydawane w Berdyczowie i Winawie.

Z nowin mlejakich zanotować należy zawalenie się jednej z dużych kamienic przy ulicy Prowanej. Przyczyną tego wypadku było podmycie fundamentów przez wodę, dobywającą się z rury wodociągowej. Wielką sprawił tu sensację wypadek podsunięcia zebranemu *in corpore* zarządowi mlejakiemu butelki zatrutego romu do herbaty; zarządzane w tym celu śledztwo, winnych dotąd nie wykryło.

W ostatnich dniach rozszalała się tu pogłoska o spodziewanym przybyciu do Kijowa senatora Polowcowa w misji urzędowej. Sprawy kraju południowo-zachodniego dobrze są znane p. Polowcowi z czasów powierzonej mu rewizji za rządów generał-gubernatora Czortkowa.

Mik. Trzaska.

Kijów.

± «Kijewsk. Słowo» zamieszcza ciekawe cyfry, dotyczące małżeństw, zawartych w Kijowie i w gub. kijowskiej w ciągu ostatniego dziesięciolecia (1880—1890). Na 14,080 związków małżeńskich, zawartych w Kijowie, przypada: 10,668 prawosławnych, 2,210 żydowskich, 811 katolickich, 237 ewangelickich i 154 zawartych między sekularzami. Mówiąc językiem cyfr, zauważyć należy, że cyfra, wyrażająca udział prawosławnych i katolików w procentach małżeństw (75,7% i 78,8% wśród prawosławnych, a 5,8% i 11,8% wśród katolików) jest mniejszą od cyfry procentowego ich stosunku w liczbie ludności. Rzecz się ma odwrotnie zupełnie co do sektantów i żydów (1,1% i 0,4% wśród prawosławnych, a 15,7% i 8,9% wśród żydów). Ewangelicy zajmują miejsce pośrednie. W innych miastach gub. kijowskiej zawarto 16,247 małżeństw, a po wsioch—238,997. Prawosławni zawarli 217,511 małżeństw, katolicy—5,215, ewangelicy—372, żydzi—15,478, sekanci—421.

Z POLITYCZNEGO ŚWIATA.

[Pobyt p. Giersa w Berlinie. Mowa jen. Capri-
viego. Era optymistyczna. Głosy prasy. Więści
i pogłoski. Parlament włoski i kwestja rzymska.]

Wskazówka barometru politycznego posunęła się w kierunku, zapowiadającym pogodę. Ruch ten tak był nagłym, że przyzwyczajona do wszelkich niespodzianek prasa nie od razu zdobyła się na ton właściwy wartykułach, poświęconych obecnej sytuacji politycznej. Usposobienie optymistyczne, panujące obecnie w Europie, powstało skutkiem pobytu p. Giersa w Berlinie. Wizycie tej pisma niemieckie przypisują znaczenie nader doniosłe, czemu niepodobna zaprzeczyć, zważwszy, iż tak ces. Wilhelm, jak jego doradcy wystąpili z mowami, zabarwionymi wyraźnie pełnym otuchy optymizmem. Po audjencji, udzielonej p. Giersowi, udał się ces. Wilhelm do koszar gwardji, by odbyć przegląd nowych zaciągów i powiedzieć rekrutom, że nieplonna żywi nadzieje, iż nie będą oni mieli sposobności okazania swego męstwa inaczej jak tylko w czasie pokoju. Jen. Caprivi wystąpił w parlamencie z wielką mową polityczną, w której dowodził, iż wszelkie obawy o zakłócenie pokoju nie mają żadnej podstawy. Kanclerz jest zdania, że szerzenie wieści alarmujących szkodzi tak rządowi w jego usiłowaniach, jak prawidłowemu biegowi spraw społecznych, denerwuje społeczeństwo i świadczy o niezdrowym stanie umysłów, niepewnych przyszłości i nieświadomych potęgi państwa. «Gdybym stał na czele armji w przededniu bitwy, uważałbym sobie za obowiązek dać wojsku przespać spokojnie noc ostatnią». Jeżeli do tych zapewnień pokojowych dodamy, że spotkanie przybyłego do Berlina króla duńskiego odznaczało się wyjątkową serdecznością i że, według wiadomości ostatnich, pobyt p. Giersa w Berlinie przyczynił się do złagodzenia oraz ces. Wilhelma i stał się zapowiedzią polepszenia stosunków ra-

sko-niemieckich, które ma zostać w sposób wyraźny zmanifestowaniem z nastaniem wiosny,—to wyczerpiemy wszystko prawie, co wpłynęło na wzmocnienie wiary w stałość pokoju, mocno zachwianej przed kilku jeszcze dniami.

Zasługuje na zaznaczenie sposób, w jaki prasa komentuje wizytę berlińską. «Birz. Wied.» twierdzą stanowczo, iż jest ona donioślejszą od konferencji w Monzy i odwiedzin Paryża i przepowiadają stałą zmianę w sytuacji międzynarodowej. «Now. Wr.», powtarzając tym razem poglądy brukselskiego «Nord'a», nie przypuszcza, ażeby pobyt p. Giersa w stolicy nadsprowskiej pociągnął za sobą jakiś stanowczy zwrot w polityce. Przyczyni się on, zdaniem tego pisma, conajwyżej do złagodzenia pewnych niechęci i usunięcia podejrzeń. Zdanie to podziela pisma francuzkie, pragnące znów powstrzymać objawy zaniepokojenia, okazywane przez zbyt krewkie i zbyt popuszczające cugli fantazjom żywioły francuzkie. Zadanie to ułatwionem zostało przez podróż p. Giersa do Paryża i jego konferencje z francuzkimi mężami stanu, reprezentującymi zdrową i trzeźwą opinię kraju.

Prasa niemiecka, która tak niedawno jeszcze alarmowała ogół przepowiedniami burzy, mającej jakoby zbliżyć się skutkiem zamiarów wojowniczych wschodnich i zachodnich sąsiadów, dziś stwierdza z zadowoleniem, że potężne Cesarstwo ruskie żywi usposobienia pokojowe i pojednawcze. «Koeln. Ztg.», «Vos. Ztg.» i nawet «Nat. Ztg.», wypowiadają to zdanie z jednomyślnością, godną zaznaczenia, chociaż domagają się przytem pewnych ustępstw na korzyść handlu niemieckiego. «Times» podaje wiadomość, jakoby pobyt p. Giersa w Berlinie stał w związku z pewnymi sprawami polityki finansowej, a w pierwszym rzędzie ze sprawą ponownego wprowadzenia walorów ruskich na giełdę berlińską. Wiadomość ta opiera się na fakcie obecności niemieckich ministrów skarbu i handlu, pp. Miquela i Berlepscha, tak na śniadaniu u jen. Capri-
viego, jak na obiedzie w ambasadzie ruskiej. Wzmiankując o zadaniach prasy niemieckiej, dotyczących zmiany ruskiej polityki finansowej, «Now. Wr.» robi uwagę, że zmiana taka potrzebną jest bardziej Niemcom niż Rosji, która nie ma powodu stawać w sprzeczności z dotychczasową swoją polityką finansową.

Wiadomość o wizycie berlińskiej przyjęta została dość niechętnie przez prasę wiedeńską. Nadczołość jej na tym punkcie łagodzi nieco wystąpienia «Nord'a» i «Now. Wr.», które twierdzą, iż p. Giers dlatego jedynie nie skorzystał w przejeździe przez Austrię ze sposobności przedstawienia się ces. Franciszkowi-Józefowi i spotkania się z jego doradcami, iż, udając się w celu poratowania zdrowia pod włoskie niebo, nie mógł narazić się na zwłokę i na pracę, jaką spotkanie to pociągnęłyby za sobą musiało. Stosunki rusko-austriackie nie uległy przez to żadnej zmianie na gorze; przeciwnie, wiadomość, podana przez «Corresp. Russe» o rozpoczęciu rokowań w sprawie traktatu handlowego pomiędzy Rosją a Austro-Węgrami, zdaje się świadczyć, iż stosunki wspomniane znajdują się w fazie całkiem normalnej.

Pisma włoskie, «Riforma», «Diritto» i «Tribuna», wyrażają niezadowolnienie z powodu interpelacji jednego z delegatów klerykalnych austriackich, który domagał się od hr. Kalnoky wyjaśnienia co do stanowiska rządu wobec kwestji rzymskiej i przedkładając, jakiego domaga papież od

rządu włoskiego. Na interpelację tę miał odpowiedzieć minister austriacki, że «kwestja rzymska» jest sprawą domową włoską. Wyrazy «kwestja rzymska», świadczące, iż hr. Kalnoky istnienie jej uznaje, wywołały oburzenie w parlamencie włoskim. Jeden z posłów zażądał od ministra Nicotery stanowczego zaznaczenia wobec Europy poglądów rządu. P. Nicotera ogłosił tedy «urbi et orbi», że rząd nie pozwoli, ażeby jakiegokolwiek mocarstwo mieszało się do spraw włoskich, i że «kwestja rzymska» dla Włochów nie istnieje, jako rozstrzygnięta raz nazawsze.

H.

Wiadomości polityczne.

Niemcy. Generał Caprivi zapewnił, że traktaty handlowe z Austrią, Włochami, Szwajcarią zostaną już w połowie grudnia podane pod rozpatrzenie izby. Ks. Bismark ogłosił w «Hamb. Nachr.», iż domagać się nie będzie powrotu na dawne stanowisko. Podobno cesarz zmanifestował wobec byłego kanclerza usposobienie pojednawcze.

Francoja. Rada ministrów opracowała projekt przedłużenia mocy obowiązującej traktatów handlowych z Hiszpanją, Belgją, Holandją, Portugalją, Szwajcarią i Szwecją. Projekt dozwala stosować do handlu z każdym z tych państw taryfę minimalną, w razie wzajemnych ustępstw. W Cherbourg'u przyjmują uroczyste marynarzy ruskich, przybyłych na korwecie «Witez».

Austria. Minister marynarki zażądał nowych kredytów na budowę kilku pancerników i flotyli torpedowców. Zakończył życie arcyks. Henryk.

Hiszpanja. Nowy gabinet utworzył się pod prezydenturą Canovasa. Z wiosną roku przyszłego królowa-regentka odwiedzi ma dwory wiedeński i berliński.

Chiny. Powstanie szerzy się z szybkością. Ludność chrześcijańska jest wymordowywana, a dobra jej zagrabione. Li-Chung-Tszang wysłał nowy oddział wojska w celu powstrzymania pochodu powstańców. Wiadomości o starciach brzmią niepomyślnie dla wojsk rządowych.

Brazylja. Prezydentem Stanów Brazylijskich został jen. Peixoto. Po ustąpieniu jen. Fonseki zapanował wśród ludności spokój. Szerzy się agitacja monarchiczna.

KRONIKA ZAGRANICZNA.

> Niedawno odbył się w Berlinie zjazd reprezentantów komitetów emigracyjnych żydowskich, na który zebrało się przeszło 70 delegatów różnych miast zachodnio-europejskich, oraz Ameryki Północnej. «Odiesskij Listok» podaje obecnie następujące streszczenie obrad zjazdu: Do gatunkowania i wysyłania emigrantów żydowskich z Rosji istnieją komitety graniczne. Komitety nie przyjmują wychodźców rumuńskich lub galicyjskich, z pomiędzy zaś ruskich wybierają tylko mężczyzn silnych i zdrowych, nawykłych do pracy fizycznej i rzemiosła. Komitety nie przyjmują ludzi bardzo starych, mających przy sobie więcej niż sześcioro dzieci, jedynaków, i takich, którzy nie zabezpieczyli bytu pozostałej w domu rodziny. Co do kobiet, są przyjmowane tylko jadące ze swymi mężami. W ciągu trzech miesięcy, od 2 lipca r. b. do 4 z. m., komitety graniczne przyjęły 35,035 głów, z tych 10,000 uposażyły w środki podróży do Ameryki. Z ofiar, nadanych do głównego komitetu w Berlinie ze 184 miast niemieckich i 11 zagranicznych, powstała kwota 1,513,000 marek; z tego wydatkowano 1,013,000 m., pozostało jeszcze 500,000 marek. Obecnie po otrzymaniu od bar. Hirsch'a zawiadomienia, że można wysłać do Argentyny codziennie po 300 emigrantów, sortowaniem ich zajmują się komitety nadmorskie w Hamburgu i Królewcu, gdzie wychodźcy otrzymują bilety i pieniądze na przejazd do Buenos-Ayres. Z drugiej strony centralny komitet niemiecki wysłał specjalnego delegata do Brazylji, dla zbadania miejscowych stosunków, oraz stara się przygotować grunt dla wychodźców do Ameryki Północnej, do której ci okazują szczególniejszą predylekcję.

> W Paryżu umógł nagle ambasador angielski, lord Robert Bulwer-Lytton, syn sławnego Bulwera, autora «Ostatnich dni Pompei». Lord Lytton był także pisarzem i poetą, a dzieła jego, zwłaszcza poezje i powieści zajmują poważne stanowisko w literaturze angielskiej.

> Lekarz i profesor Hoppe, który zmarł niedawno w Basel, przekazał testamentem pół miliona franków na cmentarz, mający na celu budowanie duszy ludzkiej. Zgodnie z życzeniem testatora, kilku psychologów ma osiadać w wielkim domu przy Sperrstrasse i oddawać się dumanom nad ludzką duszą. Resultaty swych dumań i badań uczeni obowiązani są ogłosić drukiem.

Z TYGODNIA.

Petersburg, 22 listopada.

Sprawa szlązka wyplęnęła wreszcie z chaosu parlamentarnego w Wiedniu. Poruszył ją w dłuższym przemówieniu niestrudzony obrońca praw narodowości słowiańskich, ks. Ignacy Świeży, przedstawiając w umiejętnie zgromadzonych faktach i cyfrach stan szkolnictwa ludowego na Szlązku. Szanowny mówca rozpoczął rzecz swą od stwierdzenia faktu, że już od lat 20 zarząd szkolny szlązki postawił sobie za cel germanizację ludności, nie zaś jej oświecanie. Przed 20 już laty rada szkolna krajowa wydała swym podwładnym wskazówki co do nauki języka niemieckiego, zawierające wymaganie, ażeby tylko w dwóch niższych klasach odbywały się wykłady w językach polskim i czeskim, w klasach zaś wyższych wyłącznie w języku niemieckim. Od tego czasu, zauważył ks. Świeży, mogli się przekonać germanizatorowie, że obrali sobie cel, do którego łatwiej dążyć, niż go osiągnąć. Nie obawiają się szlązacy germanizacji, ale protestują przeciwko używaniu szkoły za jej narzędzie, co pociąga za sobą zaniedbanie właściwego celu nauczania. Szlązki posiada trzy seminarja nauczycielskie: w Cieszynie, Opawie i Bielsku, a wszystkie trzy z językiem wykładowym niemieckim. Nie dziw, że kandydaci do posad nauczycielskich w polskich i czeskich szkołach ludowych nie posiadają odpowiednich kwalifikacyj, a co za tem idzie, niechętnie przyjmują te posady. Rada szkolna szlązka uskarża się nieustannie na brak nauczycieli, nie chcąc zarazem uznać prawdziwej przyczyny tego stanu rzeczy. W roku 1880—81 było w Opawie 173 uczniów niemców i 43 Czechów; w Cieszynie 61 niemców, 41 Czechów i 114 Polaków; w Bielsku 60 niemców, 6 Czechów i 10 Polaków, czyli wogóle w trzech seminarjach 124 Polaków, 90 Czechów i 294 Niemców. W r. 1883—84 liczba uczniów Słowian równa się 1/3 ogółu uczniów, w roku zaś 1889—90—zaledwo 1/4. Od czasu do czasu ludność polska licznie garnie się do seminarjów, ale wnet opuszcza je, skutkiem napotykanym trudności. Skutkiem tego daje się odczuwać dotkliwie brak nauczycieli, których w ciągu lat 1885—90 wykwalifikowano ogółem 450, a mianowicie: 320 Niemców, 56 Czechów i 68 Polaków. Liczba szkół ludowych polskich wynosi: 131 czeskich, 113 niemieckich 423, klas zaś polskich 191, czeskich 173, niemieckich 423. Zestawienie cyfr powyższych przekonywa aż nadto dowodnie, że słowiańska ludność Szlązka nie może zaspokoić we właściwym stopniu swych potrzeb duchow-

wych. A posteriori dowodzi tego cyfra analfabetów, znacznie liczniejszej wśród ludności słowiańskiej, niż pomiędzy Niemcami. Ks. Świeży tądał w końcu, ażeby założono polskie seminarjum nauczycielskie w Cieszynie, czeskie zaś w Opawie, «nie można bowiem odmawiać ludności słowiańskiej najpierwotniejszych i najelementarniejszych warunków do osiągnięcia pewnego stopnia oświaty». Mowa ks. Świeżego wplynie może na Koło polskie, które powinno wreszcie wystąpić w obronie praw narodowości słowiańskich na Szlązku. Czas już wielki położyć tamę zapędowi germanizacyjnemu i ująć się za prastarą dzielnicą piastowską, nad ludnością której znęcają się zuchwale dobrowolni szermierze germanizmu. Mamy oto nowe świadectwo ich działalności. Z powodu pogłosek o zamierzonym przyłączeniu Szlązka do diecezji krakowskiej i usunięcia anormalnej zależności tego kraju od biskupa-obcokrajowca, znanego aż nadto dobrze ze swych poglądów szowinistycznych, księdzka Koppa, szlązcy księża niemieccy, zgromadzeni na zaproszenie wikarjatu w Cieszynie, ułożyli do biskupa wrocł. adres, protestujący przeciwko oderwaniu «cieszyńskiego komisarjatu biskupiego od macierzy wrocławskiej». Księża ci odważają się występować w imieniu germanizowanej ludności słowiańskiej i to «w uzasadnionem przewidywaniu złowrogich szkód, jakie zmiana pociągnęłaby mogła za sobą». Autorowie adresu, nie lękając się fałszu, przeczą istnieniu ludności polskiej na Szlązku, mówiąc, że po wsiach Ks. cieszyńskiego lud używa języka czeskiego, po miastach zaś — niemieckiego. Godną uwagi jest okoliczność, iż przeciwko przyłączeniu Szlązka do diecezji krakowskiej, protestowali do spółki ze szlązkiem duchowieństwem niemieckim młodocześni, chlubiący się w innych rzeczach swoją, nie znającą wahania się, polityką słowiańską. A Koło polskie, wbrew najistotniejszym interesom słowiańskim i polskim, upiera się przy programie rządowym, zalecającym usunięcie wszelkich spraw narodowościowych. Czy rzeczywiście zdrowe moralnie społeczeństwo rzec się może wszelkiej akcji czynnej w obronie swych praw niezaprzeczalnych?

Przez dość zwykłą ironję losu, więk szość parlamentarna, sklecona przez hr. Taaffe na gruncie zadań ekonomicznych, a z tendencyjnem pominięciem wszystkich politycznych kwestyj, rozprzegła się właśnie na tym rzekomo neutralnym gruncie. Jestto tylko dość wymowne potwierdzenie tej szablonej zresztą prawdy, iż w akcji parlamentarnej, jak i w każdej akcji życiowej, kombinacje sztuczne żywotne nie są, a kompromisy sprzecznych w zasadzie żywiołów, nie mogą być ani długotrwałe, ani do czynu sposobne. W istocie swej bardzo drobny wypadek nabiera pewnej doniosłości politycznej, wskutek specjalnych cech parlamentarizmu austriackiego, którego środek ciężkości, w większym niż w innych parlamentach stopniu, leży za ku-

lissami izby poselskiej i wyklucza możliwość niespodzianek. Doniosłość więc zwycięstwa parlamentarnego lewicy ma znaczenie nie tyle istotne, ile demonstracyjne w literalnem tego słowa znaczeniu. Okazuje ono albowiem i zapowiada pewną dążność ku zmianom zasadniczym w dotychczasowem ugrupowaniu stronnictw, a przynajmniej w dotychczasowej dyrektywie postępowania Koła polskiego. Bardziej szczegółowe wyjaśnienie tych arkanów polityki parlamentarnej, znajdują czytelnicy w dzisiejszym liście naszego korespondenta wiedeńskiego, który zapowiada nawet zbliżenie się Koła do stronnictw słowiańskich w akcji przeciwko germanizacyjnemu zapędowi ministra oświaty. Nie należy sobie tylko obiecywać wielkich rzeczy po tej bezwątpienia bardzo pożądanej akcji słowiańskiej Koła. Rozwinięciu szerokiej działalności w tym kierunku sprzeciwia się już nietylko ustrój wewnętrzny monarchji austriackiej, ale nawet skład stronnictw parlamentarnych. Dość albowiem trudno wyobrazić sobie ścisłe połączenie się Koła polskiego ze stronnictwem młodoczeskiem. Stronnictwo więc słowiańskie, tak jak i w ogóle stronnictwa austriackie, będzie i nadal obowiązywać polityka «od przypadku do przypadku», a ta, jakkolwiek może być czasem jedynie mądrą i zbawienną, nigdy zbyt imponującą i energiczną nie jest.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

× Specjalna wyższa komisja rządowa, mająca na celu ześrodkowanie działalności ratunkowej od głodu, już została zorganizowana. Komisja stanie na czele ofiarności prywatnej, zawiadywać będzie sumami, przeznaczonemi na zakup zboża i zajmie się rozdawaniem tego ostatniego. Kapitał organizacyjny komisji tej wynosi 5 milj. rs., które zostaną zebrane drogą rozprzedaży 1,200,000 biletów loteryjnych. Sumę powyższą bank państwa zakredytuje natychmiast po rozpoczęciu czynności wyższej komisji. Na członków rzeczowej komisji, jak donoszą «Birz. Wied.», powołano: p. ministra finansów rz. r. t. Wysniegradzkiego, p. ministra spraw wewn. rz. r. t. Durnowo, p. ober-prokuratora synodu najsw. rz. r. t. Pobiedonoscewa, p. ministra dóbr państwa rz. r. t. Ostrowskiego i prezesa Towarzystwa Czerwonego Krzyża jen.-adj. Kaufmana. Wice-prezesem ma być prezes komitetu ministrów rz. r. t. Bunge, a sekretarzem jej — towarzysz ministra spraw wewn. r. t. von Plewe. W charakterze członka doradcy i rzeczoznawcy w sprawach kolejowych ma być zaproszony jen.-adj. Annenkov. Należy mniemać, że z czasem zakres działalności komisji znacznie będzie rozszerzony.

× Zarząd pocztowo-telegraficzny ma zamiar wprowadzić specjalny rodzaj telegramów za mniejszą opłatą, które wysyłane będą po rozesłaniu zwykłych depeesz, ale zawsze dochodząc będą znacznie prędzej, aniżeli korespondencja pocztowa. Tego rodzaju telegramy są już oddawna w użyciu we Francji.

× Ministerstwo finansów, jak donosi «Now. Wr.», postanowiło przyjąć podobne zasady, na mocy których ma być zreformowana ustawa emerytalna. Całkowitą pensję, jako emery-

ture, pobierał będąc występujący lat czterdziestu, jeśli wychodzący ze służby ma 60 lat wieku. Półowa pensji, jako emerytura, zostanie zniesiona, a na jej miejsce urzędnicy, opuszczający służbę z powodu nadwątłego zdrowia, otrzymywać będą emeryturę, proporcjonalną do liczby lat wysłużonych. Prawo to przysługuje dopiero po dalsze pięciu latach służby.

× Komendant m. Warszawy, jen.-lejt. K u s t m i n, uwolniony został od służby z rangą generała piechoty, emeryturą i prawem noszenia wysłużonego munduru.

KRONIKA PETERSBURSKA.

— Najjaśniejsi Państwo z J. C. W. Następca Tronu, oraz z Ich Ces. Wys. WW. Ks. Michałem, Ksenią i Olgą Aleksandrowiczami w sobotę, 16 b. m. o g. 4^{1/2} popołudniu raczyli przybyć z Liwadji do Gatchyna.

— W kwestji kolonizacji kresów dalekiego Wschodu, wypowiedział bardzo ciekawą mowę w Towarzystwie geograficznym rodak nasz, jen. Kowerałki. Zdarza się nieraz, powiedział jen. Kowerałki, że zdrowi, silni i rośli ludzie, prześlakawszy rok cały po amurskich pustyńkach i nie znajdując tam miejsca, gdzieby osiedlić się mogli, znów powracali do Rosji europejskiej. W celu usunięcia tego rodzaju przykrych zjawisk, które paraliżują kolonizację Syberji, należy ją zbadać pod względem fizyko-geograficznym i zawczasu określić, jakie jej okolice nadają się pod uprawę. Współzawodnicy w sprawie kolonizacji — chińczycy — doskonale osiedlać się umieją tam, skąd my uciekamy. Czyż nie jestto prostym obowiązkiem naszych topografów i geografów, przyjść z pomocą tym, którzy, z powodu okoliczności nieprzyjaznych, musieli opuścić ziemię rodzinną. Jestem przekonany, że członkowie Towarzystwa geograficznego i podzielający ich poglądy i zadania, nie odmówiliby swej pomocy w tej sprawie. Idzie tylko o wyszukanie materialnych środków na zbadanie najodleglejszych zakątków państwa.

— Koncert Tow. dobroczynności. Program koncertu mającego się odbyć 7 grudnia w sali tutejszego Towarzystwa kredytowego, na dochód ubogich pod opieką rz.-kat. Towarzystwa dobroczynności pozostających, uformował się ostatecznie. Udział w koncercie tym przyjąć raczyli: panie Poznańska, Janowska i Morska, pp. Młynaraki, Cabel i Bzai. Wątpić nie należy, że publiczność petersburska zechce skorzystać ze sposobności usłyszenia tych wybitnych sił artystycznych i wynieść to moralne zadowolenie, że groszem swoim powiększy fundusze Towarzystwa dobroczynności, które przy nadchodzących świętach i wzrastającej nędzy, grosza tego bardzo i bardzo potrzebuje. Sprzedaży biletów raczyły się podjąć następujące opiekunki Towarzystwa: pani Balińska (Iwanowska, 30); K. Ichnatowicz (Karawanajka, 18); S. Kolanowska (Zwenigorodka, 5); N. Lewicka (Karawanajka, 5); M. Maleszowska (W. Koniuszennaja, 27); B. Olaszowska (Kazańska, 54); H. Piltz (Sadowa, 118); W. Szdzikowska (Fontanka, 97); N. Spasowicz (Kabinetakaja, 7); L. Czeczot (Moska, 126). Oprócz tego biletów na koncert dostać można u członka zarządu Towarzystwa, Ignacego Knolla (Puskinakaja, 18) i w samym zarządzie Towarzystwa dobroczynności (Newski prospekt, w domu kościoła św. Katarzyny).

— Od p. El. Orzeszkowej odbieramy list następujący: «Uprzejmie proszę szanowną redakcję o wydrukowanie kilku słów następujących: W numerze 46 «Kraju», w odpowiedziach od redakcji, wkradła się omyłka, którą dla ścisłości w szczegółach, mnie osobiście tyjących się, sprostować pragnę. W Petersburgu, mam przyjemność znać osobiście tylko pana Włodz. Spasowicza i państwa Piltzów. Od kilku lat mam istotnie zamiar odwiedzenia tych moich szanownych i miłych znajomych, odwiedzając nie tym sposobem ich laszkowych a mnie odwiedzić, a przytem, skorzystając z pożytecznych zawsze piarzewi widoków i wrażeń wielkiego miasta. W roku bieżącym jednak, w skutek okoliczności rozmaitych, zamiaru tego dokonać nie będę mogła, i do powyższej przysłałości go odkładam. El. Orzeszkowa.

— Odczyt o «Pani Tadeuszu». Niedawno w «Towarzystwie amatorskim» w Petersburgu, głośny powieściopisarz raski, p. Piotr Boborykin, miał odczyt, a raczej referat o «Pani Tadeuszu». P. Boborykin zna język polski i mógł czytać arcydzieło poezji naszej w oryginale, przytem zaś bardzo sumiennie wystudjował wszystko, co nasi krytycy i komentatorowie o nieśmiertelnym poemacie napisali. Tyle o kompetencji prelegenta, co się zaś tyczy jego talentu, to miarę jego daje okoliczność, że umiał on tak w ruskich jak i w polskich swych słuchaczach wzbudzić nie tylko uznanie, ale nieklamane i żywe zainteresowanie, jakkolwiek co do treści nie nowego dla tych ostatnich nie powiedział. Nowem natomiast i, wysnamy, zupełnie nadespodziwanem było nie tylko wyborne zrozumienie ducha, ale i gorące odczucie wszystkich piękności tego wysoce narodowego utworu, jakie przebiegało się w każdym zwrocie i w całości prelekcji p. Boborykina. Prelegent tłumaczył tę zdolność odczuwania niewątpliwem pokrewieństwem psychicznem obu narodów, i nadto podobieństwem przyrody; «przecież przyroda, którą opisuje Mickiewicz», nadmienil p. Boborykin, «toć i nasza ruska przyroda, przecież i u nas są takie krajobrazy, takie losy, takie stawy i pola, i takie lany». Stawiając utwór mickiewicowski w rzędzie pereł wazechświatowej poezji p. Boborykin, podnosił szczególnie wspaniałą umiejętność uwydatnienia najszczytniejszych uczuć społecznych na tle powszedniego życia, nieporównany artyzm Mickiewicza w malowaniu krajobrazów realnie wiernych i zarazem przenikniętych najszlachetniejszą miłością do ziemi rodzinnej, podnosił humor i cudowną pogodę ducha poety, przenikającą cały utwór. Bardzo oryginalne i dobrze umotywowane poglądy wygłosił prelegent, co do postaci Wojckiego, zdaniem jego niedocenianej przez polskich krytyków. Zakończył zapowiedzią opracowania poruszonych tematów i życzeniem, ażeby prelekcja obecna i przyszła praca stały się punktem wyjścia do porównawczych studjów nad «Panem Tadeuszem» a «Ewgenjem Onieginym», najpiękniejszym utworem Puszkina. Zważywszy albowiem nie tylko bliską zażyłość obu poetów, ale nadto jednoczesność obu utworów, malujących społeczeństwa polskie i ruskie, można się spodziewać, że takie porównawcze badania będą niewątpliwie dla obu piśmiennictw korzystne. Poprzestając na tej krótkiej wzmiance, wyrażamy nieplonną nadzieję, że będziemy mogli przedstawić czytelnikom polskim w całości piękną i subtelną pracę krytyczną p. Boborykina.

— Teatr polski. Benefis panny Morakiej zajął naczelnie miejsce w szeregu przedstawień zeszłego tygodnia. Utalentowana artystka naszego teatru wystąpiła w dniu tym w roli Marji, w komedji K. Zalewskiego «Zie ziarno». Rzecz sama przed piętnastu napisana laty, z widocznym z góry uplanowaniem uwzględnieniem najlepszych sił artystycznych teatru warszawskiego, w swoim czasie, dzięki koncertowej interpretacji, cieszyła się ogromnem powodzeniem. Komedja ta posiada dużą ilość efektów scenicznych, ale pozbawiona głębszych motywów, czynów, osób działających, silniejszego nad krótkotrwałe jednowieczorowe wrażenie utworu obrachowanego na efekt, sprawić nie może. Benefisantka w tej sztuce nie miała zbyt wielkich trudności do pokonania, nie potrzebuje więc dodawać, że grała doskonale. Bardzo licznie zgromadzona publiczność powitała artystkę rzeszłemi oklaskami i, jako dowód uznania dla jej talentu i pracy, ofiarowała pannie Morakiej wieniec srebrny. Kwiaty, bransoleta i pierścionek brylantowy, oraz hellominiaturowy portret p. Morakiej w roli «Leny», w kosztownej ramce, były prezentami, które, jako dobre dla sceny naszej zasłużonej, najchętniej jej się należały. Wszyscy wykonawcy komedji «Zie ziarno», stali na wysokości swego zadania, ale po nad innemi, bądź co bądź, górował wybitny talent p. Kamińskiego, który był wymienionym i typowym hrabią Fajtaszkim. Drugą, acz względnie nowocześnie, była komedja Józefa Bilińskiego, «Przeoczna mama». Jestto jeden z pierwszych utworów autora przepięknego «Pani Damazego». Nie nowa w założeniu, szwankująca pod względem akcji rzecz ta, o tyle tylko podobad

się może, o ile główna postać, dla której została napisana, dzięki grze artysty, zająć może. Bola ta, a jest nią bynajmniej nie «przeoczna mama», ale jej małżonek, pan sędzia, spoczywała w rękach utalentowanego artysty p. Kamińskiego. Jakkolwiek niezupełnie odpowiednia dla p. K., w grze jego, jak być powinno, wysunęła się na plan pierwszy. Jak zwykle, i tutaj z podjętego zadania p. K. wywiązał się doskonale. Całość, co przypisać należy bardzo małej garstce widzów, grano nieco zbyt wolno. Pani Siedlecka była bardzo dobrą «mamą», a inni artyści z ról swych wywiązały się jak przystoi. Powtórzone w ostatnią niedzielę «Dziwak» p. Mańkowskiego, nie zdołał zgromadzić widzów, chociaż grano go dopiero po raz drugi. Dziś w teatrze polskim — «Epidemja», jedna z lepszych komedji autora «Pozytywnych», Józefa Narzymskiego. Zoił.

— Posiedzenie «esperantistów», t. j. uprawiających ten język międzynarodowy, miało miejsce 8 b. m. w Petersburgu. Przewodzący, p. Lefleur, wyjaśnił zebranym, że język «esperanto» nie kusi się wcale o wyrugowanie innych języków, ale o to tylko, ażeby mógł służyć do wzajemnego porozumiewania się ludzi rozmaitych narodowości, nie rozumiejących się wzajemnie. Twórcą nowego tego języka jest dr. Samenhof z Warszawy. Celem nowego towarzystwa jest okazywanie pomocy rozpowszechnianiu tego języka. Na zgromadzeniu przejrano projekt ustawy towarzystwa, który ma być przedstawionym do zatwierdzenia właściwej władzy.

— Na pogrzebie ś. p. Marjana Krosnowskiego, który miał miejsce 15 b. m., w pełnym komplecie wystąpili profesorowie instytutu technologicznego, profesorowie szkoły rzemieślniczej i liczne grono znajomych. Na trumnie złożono bardzo wiele wienców od rozmaitych instytucji, zakładów i osób prywatnych. Na mszy żałobnej w kościele św. Katarzyny był obecnym p. minister oświaty, hrabia Deljanow. Ciało zmarłego spoczęło na cmentarzu katolickim na wyborskiej stronie.

— Trupa małoruska w teatrze Nemetti, jak się dowiadujemy, dwa wieczory w tygodniu zająć ma trupa artystów małoruskich pod wodzą p. Kropiwnickiego. Pierwsze przedstawienie tej trupy odbyć się miało we czwartek, 21 listopada. W ten sposób artyści naszego teatru nie będą potrzebowali grać tak często, jak dotąd, bez żadnej szkody dla materialnego powodzenia naszego teatru. Mniejsza ilość przedstawień niewątpliwie większą zdołaścią przyciągnąć publiczności, a przygotowanie sztuk tylko na tem zyska.

— Panna Zofja Poznańska, utalentowana pianistka, laureatka konserwatorium petersburskiego, wystąpi w własnym koncercie dnia 26 listopada, we wtorek, w sali Towarzystwa kredytowego (plac teatru Aleksandryjskiego). Panna Poznańska odbyła podróż artystyczną, a między innymi, była w Berlinie i w Dreźnie, gdzie zarówno publiczność, jak i krytyka, z wielkiem uznaniem o grze naszej artystki się odzywają. Lubownicy sztuki w dniu koncertu trudny będą mieli wybór, w dniu tym bowiem w teatrze polskim przypada benefis ulubieńca naszej publiczności, p. Kamińskiego. Wobec tego, czyby nie było właściwiej koncert lub benefis oznaczyć na inny dzień?

— Benefis p. Kamińskiego, utalentowanego artysty naszego teatru, wyznaczono na dzień 26 listopada, we wtorek. P. K. wystawi na swój benefis nie graną jeszcze dotąd nigdy w Petersburgu, jedną z ostatnich komedji p. K. Zalewskiego, p. t. «Nasi zięciowie», w 5 aktach. Udział w tej sztuce przyjmą literalnie wszystkie siły naszego teatru.

— Pierwsze przedstawienie po cenach znizowanych, które miało mieć miejsce w ubiegłą środę, nie mogło przyjść do skutku z powodu, że w dniu tym przedstawień teatralnych, jako w wilej uroczystego święta, dawać nie wolno. Także przedstawienia odroczone więc na cały tydzień. Pierwsze z nich odbędzie się w przyszłą środę, 27 listopada. Na program tego widowiska złożą się: komedja M. Bałuckiego «Klub kawalerów» i jedna z lepszych jednoaktówek.

— Na posiedzeniu Towarzystwa hodowli owców, d. 17 listopada, omówiono warunki wy-

stawiania organu Towarzystwa. Organem tym będzie wydawany przez prof. A. Budakiego «Wiestnik piodowodstwa». Ks. Gagaryn na tem posiedzeniu odczytał referat «O jabłkach guberni podolskiej».

«Russkija Wiedomosti» otrzymały drugie ostrzeżenie za zamieszczanie trwożących ogół i przesadzonych wiadomości i artykułów o głodzie.

KRONIKA WARSZAWSKA.

Z Warszawy, 28 listopada.

Kanalizacja m. Warszawy. Szewctwo w Warszawie. Handel skórami i przyborami do obuwia. Produkcja obuwia i rynki zbytu. Hurtowe i detaliczne handle obuwem. Wykształcenie uczniów szewskich. Lichwa i odłożenie urzędników w kilku instytucjach warszawskich].

Jakiś pan, który pisze listy warszawskie do «Noworossyjskiego Telegrafu», znęca się w jednym z tych listów nad właścicielami domów w Warszawie, z powodu ich jakoby wielkiej niechęci do korzystania z tych udogodnień, jakie już w obecnej chwili dostarczyć mogą skutecznione roboty kanalizacyjne. Powiada, że mogłoby dotychczas skanalizować swoje domy 500 właścicieli, a skanalizowało dobrowolnie tylko dwóch. «Nowoje Wremia», powtarzając tę bajeczkę, dodaje, że kanalizacja istnieje i nikt z niej nie chce korzystać i t. d., i t. d. Otóż, w rzeczywistości, rzeczy mają się wcale nie tak źle. Przeciwnie nawet: na jednym z niedawno odbytych posiedzeń komitetu kanalizacyjnego, p. prezydent tutejszy, tak gorąco oddany sprawie kanalizacji Warszawy, i ze wszelką energją popierający sprawę kanalizowania domów, wyrażał przekonanie, że sprawa ta posuwa się bardzo pomyślnie. Istotnie, z 800 domów jakie w Warszawie w chwili obecnej mogą być skanalizowane, skanalizowano około 600 domów. Jeśli zaś jest mowa o środkach przymusowych, jak np. uniedostępnienia spadku do rynsztoków w domach nieskanalizowanych np. na Nowym Świecie, to, może to dotyczyć kilku właścicieli, nie korzystających dotychczas z kanalizacji, przeprowadzonej na ulicach, przy których ich domy są położone.

Antysemita tutejsi będą mieli wspaniałe pole do popisu, z powodu odmalowania stanu, w jakim się znajduje szewctwo tutejsze. Tego trudnego zadania podjął się pan Marcin Osmała, członek sekcji rzemieślniczej tutejszego oddziału Towarzystwa przemysłu i handlu, i dokonał bardzo dobrze, o ile naturalnie cyfry podane są prawdziwymi, co zdaje się nie ulegać wątpliwości.

Otóż szewców, kamaszników, kopyciarzy i pantoflarzy było w Warszawie w 1890 roku 22,146 osób, licząc w to członków rodziny, mężczyzn i kobiety. Poważna ta liczba stanowi prawie 19-stą część ludności Warszawy. To są szewcy chrześcijanie.

Pan O. dodaje, że, według danych magistratu, jest w Warszawie 847 kamaszników mężczyzn żydów; ten znaczny rozwój kamasznictwa u żydów tłumaczy się tem, że wszyscy hurtowni handlarze obuwia—żydzi—prowadzą duże warsztaty do wyrobu cholewek, czyli wierzchów. Chrześcijan zaś kamaszników można znaleźć tylko wśród rzemieślników cechowych. Zresztą, o ilości szewców-żydów p. O. nie nie mówi.

Handlów hurtowych skórami i przyborami do obuwia jest w Warszawie trzydziści dwa, z tej liczby jednak zaledwie dwa znajdują się w rękach chrześcijan. Z ogólnej liczby 155-tych handlów detalicznych temż towarami, zaledwie sześć znajduje się w ręku chrześcijan. Jestto procent rażąco mały.

Wartość produkcji obuwia w Warszawie oblicza p. O. na 20,000 milionów rubli; do cyfry tej dochodzi, obliczając ilość wywozu ze stacji Warszawska na 88 tys. pud.), spożycie

zaś warszawskie ocenia po 10 rs. na osobę. Ponieważ zaś przeciętna osoba jednego puda obuwia warszawskiego wynosi 182 kop. 40, więc wartość wywozu stanowiła w r. z. przeszło 16 mil. rubli; Warszawa zaś zużyła obuwia za 4,000 mil. rubli. Zbyt skierowany jest przeważnie do Niżnego-Nowgorodu, do Moskwy, Rostowa nad Donem, na Wołgę, do Charkowa, na Syberję — na jarmark irdycki, na Kaukaz i do Turkestanu.

Z czterdziestu handlów hurtowych obuwem, cztery zaledwie znajdują się w rękach chrześcijan. W handlu jednak detalicznym 115 sklepów znajduje się w rękach chrześcijan, a 84 w rękach żydów. P. O. nadto twierdzi, że «jakkolwiek żydzi ponoszą za 28 sklepów opłatę «drobnego handlu», to jednak wszyscy zajmują się wyłącznie sprzedażą hurtową obuwia i sprzedają na detal tylko *pro forma*, o czem przekonac nas może każdy szewc, pracujący dla nich, więc razem żydzi mają w Warszawie 64 handli hurtowych obuwia, a chrześcijanie zaledwie cztery».

Ogólne zestawienie wykazuje nadto, że przeciętny udział chrześcijan w handlu skórami i w handlu obuwem na eksport wynosi pięć procent.

O stopniu wykształcenia uczniów szewskich w Warszawie, wymownie świadczy to, że w ciągu ostatnich trzech lat, z 737 wyzwolonych uczniów, 58,2% nie umiało ani czytać ani pisać.

P. O. twierdzi, że żydzi, dający robotę szewską, przedewszystkiem nie chcą jej oddawać, jeśli szewc nie chce wziąć skóry, a za skóry liczą o 47% więcej, aniżeli w handlu przy cenach normalnych. Następnie wszyscy żydzi, oddający robotę, ofiarują jednakowe jej warunki szewcom, robotę biorącym. A liczba osób kunsztu szewskiego jest, jak widzieliśmy, bardzo znaczną. Z tej zaś liczby zaledwie 2,380 osób znajduje zatrudnienie w 119 firmach szewskich chrześcijańskich, a 19,766 osób w 64 firmach żydowskich.

Pan Aleksander Łętowski, w dalszym ciągu po opisanu lichwy na drogach żelaznych, opisuje pod tym względem oddział banku państwa, Towarzystwo kredytowe ziemskie, Towarzystwo kredytowe miejskie i Towarzystwo wzajemnego kredytu; procent odłożonych urzędników po ogólnem zestawieniu przedstawia się jak następuje:

Z pensją do 600 rs. włącznie.	Z pensją 601—1200 rubli sr.	Z pensją wyżej 1200 rs.
-------------------------------	-----------------------------	-------------------------

	W procentach.		
Kolej wiedeńska	14,9	19,2	9,3
» nadwiślańska	8,2	21,9	11,9
» terepolska	4,8	11,8	2,5
Tow. kred. ziemak.	21,5	25,0	17,5
» » miejskie	9,0	26,8	15,7
» wzaj. kredytu	—	11,1	—

W oddziale banku państwa procent obdłużonych urzędników waha się pomiędzy 17,2% i 23%.

Powyższe dane zebrane są i zestawione na zasadzie aresztów, położonych na pensjach. Środkowa kategoria urzędników, jak widzimy, jest odłożoną najwięcej, gdyż przeszło 20% pierwsza kategoria przeszło 11%, i ostatnia prawie w tym samym stosunku.

O ile jednak dane te zbliżone są do prawdy, wobec istnienia innych długów, z powodu których aresztów na pensję nie nałożono, obliczyć niepodobna. Wskazują one jednak na fatalne położenie urzędników i, zdaje mi się, że nie biorąc przyczyną odłożenia urzędników za przyczyną do pozostawienia ich nadal w rękach lichwy, należałoby wykupić urzędników, tak jak to zrobiło Towarzystwo kredytowe ziemskie, podejmując się spłaty długów na warunkach takich, któreby zapobiegły na przyszłość — nie robieniu długów lichwiarskich, gdyż takie zapobieżenie jest niewykonalne, lecz pozostawianiu na służbie takich urzędników, którzy te długi nadal robić będą. Wyda się to może rażącem, ale jeśli pracodawca popełnia niezwykły czyn złamania, to wzamian może wymagać niezwykłych zobowiązań, tembardziej, że to ostatnie dla pracujących stanowczo dobre skutki przyniesie.

Tad. Z.

Warszawa, 28 listopada.

[Tydzień warszawski].

+ Wkraczamy już swolna w okres gwiazdkowy. Mówi o tem zwiększający się ruch w fabrykach, sklepach, kantorach pism i księgarniach, mówią przygotowania do przeróżnych «gwiazdek» dobroczynnych i amatorskich, mówią wreszcie wielkie różnobarwne afisz, przenoszące się z ulicy na ulicę, ze sklepu na sklep, z napisem «Bazar ruchomy», «Wenta dobroczynna» i t. p.

Warszawa nigdy tak wiele nie sprzedaje i nie kupuje, co w czasie czterech lub pięciu tygodni, poprzedzających święto Bożego Narodzenia. Można by też dodać: nigdy tak wiele nie chodzi. W samej rzeczy, w porze tej, jak najmniej sprzyjającej przechadzkom, wśród mgły, deszczu i błota, warszawianie i warszawianki uwiązają się po ulicach, jak mrówki w zaalarmowanym mrowisku. Wszędzie ich pełno: w sklepach, w kościołach, na wystawach malarskich, w teatrze, w sali koncertowej i t. d. Tłok nawet sprawiają w księgarniach!

A tymczasem, jak rzeźmieszek ukryty za węglem, czai się na nich influenza i co dziejącego przynajmniej na kilka dni pakuje do łóżka. Szczęściem, sprawia się ona dość względnie i dwudniową gorączką, katarem, oraz łaniem w kościach pozwala wykupywać się od większego niebezpieczeństwa. Cokolwiek bądź, chorych pełno, a biura rządowe i prywatne pustoszą tak gęsto i tak nagle, że wywołuje to nieraz chwilowy zamęt w interesach.

Jestem pewny, że gdyby kto tej smutnej bohaterce dnia poświęcił odczyt i wygłosił go już nie w sali muzealnej, ale dajmy na to, w cyrkowej arenie, zgromadziłby niezawodnie, zamiast 300, conajmniej 3,000 słuchaczy i słuchaczek. Prelegenci jednak nasi zamalają aktualni. Dziś naprzykład wieczorem występuje na katedrę p. Kramasztyk i mówi... o kongresie pokoju? o siłach zbrojnych Europy? o przyjaźni franko-ruskiej? o spółce spirytusowej? o lichwiarzach i lichwie? o kartoflach wreszcie, życie i fabrykacji sucharów?... Bynajmniej. Mówić musi o kaletycu — o tym kaletycu jałowym, który, nie posiadając ani atmosfery, ani wody, i wskutek tego nie nadając się zupełnie do skolonizowania, nie przedstawia dla obywateli pozytywnych żadnego zgola interesu...

O wiele większą aktualność posiada fakt, spełniony dnia dzisiejszego w samo południe, w obecności władz, dygnitarzy, przedstawicieli prasy i t. d. w Tworkach pod Warszawą. Faktem tym jest otwarcie urzędowe wielkiego szpitala dla obłąkanych. Aktualnym czyni go okoliczność, że u nas cierpienia umysłowe nie tylko stanowią wyjątkowo wysoki procent ogólnych chorób, ale nadto w chwili obecnej, w sposób zastraszający wzrastać poczęły. Stwierdza to statystyka, stwierdza nawet powierzchniowe rozejrzenie się wśród bliźnich. Nie mówiąc już o epidemicznie panującej we wszystkich klasach społecznych neurastenji, o «manji wielkości», pleniącej się przeważnie na gruncie literacko-dziennikarskim i o «manji przesładowczej», którą dotknięci są głównie ludzie bez talentu sprawiedliwie przez krytykę sądeni, iluż to z nas cierpi na «gorączkę złota», która tak rzadko do milionów, a tak często do... Tworków prowadzi!

Niedawno ofiarą owej *febris aurea* padł jeden z prawników warszawskich, któremu zachciało się spekulować na słotym piasku. W spekulacji tej utopił on kilkanaście tysięcy rubli, za które otrzymał wór... opiłek miedzianych, cienką warstwą złota po wierzchu przysypanych. Dawno to już zauważono, że najprostszą formą oszustwa największym cięską się powodzeniem. Komedja ze słotym piaskiem po wielokroć razy odgrywana była w naszym mieście i zawsze kończyła się zyskownie a bezkarnie dla swych autorów. Tym razem jednak «przysła kreska na Matyska». Policja przytrzymała reżysera i dwóch aktorów dowcipnej tej sztuki, za głównym zaś twórcą, którym, jak się okazało, jest niejaki Subkow, zamieszkały w Bydnie czy też w Wilnie, czyni energiczne poszukiwania.

Nie wiem, co na to rzekną psychiatrzy, ja jednak dopatruję się lekkiego zbeczenia umy-

Warszawa Nadwiślańska . . . 31,778 pud.
Terepolska . . . 22,866 .
Petersburska . . . 27,333 .

Razem 87,968 pud.

drog i komun.; 5) szczególne rozporządzenia co do zaliczenia pewnej rzeki do podlegających do sorowi minist. drog i komunikacji; wreszcie 6) akty miernicze, wspominające o istnieniu nadbrzeża dla potrzeb żeglugi.
P. W. L. w Saw. Niestety, na zasadzie art. 556 ustaw cywilnych i wyjaśnien senatu, straconem zostało prawo do majątku, o którym sz. pan wspomina. Nic na to poradzić nie można.
Członkowi klubu w H. Służyć informacjami nie możemy. Kwestja jest zbyt osobista.

K. B.

KURJER KOŚCIELNY.

Z WATYKANU.

.. «Polit. Corresp.» zaprzecza pogłosce, jako by rząd ruski zamierzał p. Izwołskiego uwierzytelnić przy Watykanie jako posła. Taki plan jest, szczególnie teraz, nieprawdopodobnym.
.. Wbrew alarmującym pogłoskom o stanie zdrowia ojca św., prywatny telegram «Kur. Warsz.» donosi z Rzymu, że papież wrócił zupełnie do sił i ma nadzieję, że w r. 1893 jubileusz swój odprawi.
.. Bardzo zasobna biblioteka rzymskiej rodziny Borghesów, z powodu upadku finansowego tej rodziny, została sprzedana papieżowi Leonowi XIII za 1 mil. franków i przewieziona do Watykanu.

KRAJOWE.

.. Piszą nam z Wilna, że obecnie z powodu uroczystości Opieki N. M. Panny z 40-dniowym odpustem, tysiące pobożnych przez tydzień cały odmawiają przed cudownym obrazem w Ostrej-Bramie wieczorne litanje. Przystem zwracamy uwagę, że wizerunek ostrobramski niesbyt dawno pokł trochę wzdłuż twarzy; przekonywają nas o tem nawet nowsze fotogramy. Dodajmy też nawiasem, że najlepszą (konkursową) kopją z M. B. Ostrobramskiej, jest, niewiadomo gdzie znajdujące się dzisiaj, przesłane płótno s. p. akad. Karola Rafałowicza. Przy sposobności prostuję, że obraz p. B. Rusieckiego (patrz № 45 «Kraju»), przedstawia nie św. Stefana, ale św. Władysława. Polacy katolicy z Kaukazu ciągle przysyłają do O. Bramy po kilka rubli na msze: na intencję zesłania im przez Opatrzność i Zwierzchność kościelną księdza-polaka, gdyż mają oni księda raz tylko na rok i to nie rozumiejącego po polsku! Wielu katolików nie bywa u spowiedzi, niektórzy umierają bez Sakr. Św. L. - staw.
.. We Włocławku święcił uroczyste jubileusz dwudziestopięcioletni nauczycielstwa swojego w seminarjum włocławskim ks. Stanisław Chodyński, prałat kapituły kujawsko-kaliskiej, obecnie rektor tegoż seminarjum.

ZAGRANICZNE.

.. Arcybiskup Guite-Soulard, natychmiast po wysłuchaniu wyroku obwiniającego, wysłał na imię sekretarza papieżkiego mgr. Rampolli telegram: «Proszę zawiadomić ojca św., że Jezus Chrystus, tron papieżki i kościół zwyciężył dziś wobec sądu ludzkiego. Miałem zaszczyt zostać skazanym na karę pieniężną».
.. Wedle informacji «Kur. Poznańskiego», konsystorz papieżki w Rzymie wyznaczonym został na dzień 2 (14) grudnia. Na nim papież prekonizował, obok prymasa węgier, także arcybiskupa gnieźnieńskiego i poznańskiego. Ks. Stabiewski słożył już przysięgę, która, z polecenia stolicy św., odebrał od niego ksiądz biskup Likowski wobec świadków dwóch członków poznańskiej kapituły.
.. Tymczasowy jenerálny wikariusz cieszyński Fiudziński, wydał okólnik, wzywający duchowieństwo katolickie do podpisania adresu przeciwko wcieleniu Szlaska do biskupstwa krakowskiego. Podobno jednak narodozo usposobione duchowieństwo katolickie nie podpisze adresu.

KURJER SZKOLNY.

OGÓLNE.

.. Wkrótce rada państwa rozpatrywać będzie, jak donosi «Grażdanin», wypracowane przez ministerstwa oświaty i sprawiedliwości środki i sposoby, jakich użyć należy w celu wykorzystania miejscowych potajemnych szkół polskich w guberniach Królestwa polskiego. Główna czynność w tym kierunku, jak píše «Grażdanin», należeć będzie do władzy sądowej i do miejscowej władzy administracyjnej. Nowe środki mają na względzie potajemne szkoły, propagujące język polski, ponieważ jednak odpowiednie artykuły prawa nie przewidziały tego specjalnego celu zakładania szkół potajemnych, winni więc na drodze sądowej tylko bardzo lekko karać być mogą. W związku z tem znajdują się następujące rozporządzenia warszawskiego oberpo-

liomajstra: 1) stosownie do art. 8 Najwyższej w d. 18 stycznia 1841 r. zatwierdzonej ustawy o zakładach naukowych prywatnych w Królestwie polskim, wszelkie zbiorowe nauczania mają charakter szkoły, i dla tego osoba ucząca siebie samowolnie nie zbiorowem uczeniem dzieci, bez względu na liczbę ich, powinna uszykać od j. w. kuratora okręgu naukowego warszawskiego pozwolenie na otwarcie i utrzymanie szkoły; 2) zakład, którego właściciel nie posiada rocznego pozwolenia, uważany jest za szkołę potajemną i winien być natychmiast zamknięty; 3) dzieci w domach prywatnych mogą uczyć pojedynczo, w charakterze guwernerów lub guwernantek, tylko te osoby, które na prawo uczenia posiadają świadectwa, zastrzeżone w art. 37 i 41 powyżej nadmienionej ustawy; i 4) świadectwa wydawane przez okręg naukowy nauczycielom i nauczycielkom prywatnym, dają im prawo na udzielanie lekcji w domach i w szkołach prywatnych, lecz nie upoważniają ich do uczenia u siebie w domu.
.. Wedle informacji «Kur. Warsz.», uczniowie gimnazjalni wyznania mojżeszowego, przenoszący się z jednego gimnazjum do drugiego, mogą być, na mocy ostatniego postanowienia ministerstwa oświaty, przyjmowani tylko w stosunku procentowym, a więc uważani są za nowostępujących. Tylko co do kończących progimnazja, i przenoszących się do gimnazjum, ograniczenie powyższe nie jest stosowane.

KOLEJNIK.

WIADOMOSCI OGÓLNE.

.. Ogólne zgromadzenie akcjonariuszów drogi nadwiślańskiej odbyło się w dniu 15 (27) listopada w lokalu zarządu tejże drogi. Rezultatem debatów ogólnych zgromadzeń były decyzje w następujących kwestjach: 1) zatwierdzenie budżetu eksploatacji drogi na rok 1892; 2) wybór do rewizyjnej komisji, mającej obwidować sprawozdanie zarządu za rok 1891: pp. hr. Marjana Starzeńskiego, rz. r. st. Aleksandra Starynkiewicza i dyrektora filji Banku warszawskiego Eugenjusza Zielińskiego; 3) uchwała upoważniająca do zaliczenia na konto zapasowego kapitału Towarzystwa rozchodów na nowe roboty i dodatkowych rozchodów, wcześniej lub przedtem zatwierdzonych robót, w ogólnej sumie 93,917 rubli 8 kop.; 4) zezwolenie na odniesienie pożyczki rządowej (zaciągniętej w sumie 85,000 rs., na budowę nowych pasażerskich wagonów), na rachunek mającego nastąpić powiększenia obligacyjnego kapitału Towarzystwa; 5) zezwolenie na cesję głównemu Towarzystwu dróg żelaznych ruskich udziału ziemi w ilości 1,088,95 kw. saż.; 6) zatwierdzenie ugody zarządu z kompanją «Nadieżda», wynikłej z pretensji o wynagrodzenie za spalony ładunek towaru. F.

.. W opisach szczegółów katastrofy kolejowej na drodze orłowsko-griazkiej, rzuciły się w oczy, wedle pism ruskich, fakty grabieży zabitych ofiar. Fakty te nie przemawiają za dobremi chęciami tłumu, który przybył w celu niesienia pomocy. «Orłowski Wiest.» obecnie znów donosi, że tłum zebrany, obojętnie zachowywał się wobec nieszczęścia. Trzeba było siłą zmuszać mężczyzn do wynoszenia rannych z wagonów, gdyż dobrowolnie nikt usług swych nie chciał sfałrować.

.. «Kur. Codzienny» donosi o projekcie nowej kolei żelaznej od Białegostoku do Łukowa. Linja ta w prostym kierunku ma przejść przez Suwałki, Briańsk, Drohiczyn, Mordy i Zbuszyn. Na przestrzeni tej wzniesione będą trzy mosty wielkie na Narwi pod Surazem, mały na Nurzyca pod Briańskiem i znów wielki na Bugu pod Drohiczyńskiem. Studja rozpoczęte zostaną z wiosną.

DONIESIENIA.

PREMIJÓWKI NA WYPŁATĘ.
(Patrz ogłoszenie str. 3 okładki).

REPERTUAR TEATRU POLSKIEGO
od 22 do 29 listopada r. b.

Piątek, 22-go: (pierwszy raz) «Epidemja», komedja w 4 aktach przez J. Narzyskiego. (Role główne: pp. Czarl, Linkowska, Szymaska, Siedlecka, Konopczanka, pp. Kamiński, Mielnicki, Popławski, Boland, Siedlecki).
Niedziela, 24-go: «Lena», dramat przez M. Jasińskiego.

Wtorek, 26-go: (Benefis K. Kamińskiego) «Na sił zięciowie», kom. w 4 aktach przez K. Zaleskiego. (Role główne: pp. Linkowska, Moraka, Siedlecka, Szymaska, pp. Kamiński, Kocielecki, Kopczewski, Mielnicki, Popławski, Boland, Siedlecki).

Środa, 27-go: «Klub kawalerów», kom. w 4 aktach, «Kaloasz», kom. w 1 akcie. (Przedstawienie po cenach znizowanych).

Piątek, 29-go: «O własnej sił», kom. w 3 aktach przez J. Świącickiego. (Role główne: pp. Moraka, Linkowska, Szymaska, Siedlecka, pp. Chadyński, Kamiński, Mielnicki, Popławski). «Ciotka na wydaniu», komedja w 1 akcie przez J. Bliźnińskiego.

PRZESILENIE.

Konsekwentny rozwój stanu rzeczy i stanu umysłów wobec klęski głodowej, musiał doprowadzić do zupełnego upaństwowienia i zupełnej centralizacji w rękach rządu wszelkiej akcji ratunkowej. Forma, w jaką się owo upaństwowienie przyoblecze, polega, jeżeli należy wierzyć pogłoskom miejskim i dziennikarskim zapowiedziom, na ustanowieniu specjalnego organu władzy z bardzo daleko sięgającymi kompetencjami w prowincjach, dotkniętych klęską. Nowej tej władzy będą podlegać wszystkie miejscowe organy administracyjne, a wszelkie jej postanowienia posiadać mają moc obowiązującą i nieodwołalną. W niektórych pismach znaleźliśmy domaganie się poprostu ogłoszenia stanu wojennego, z nadaniem odnośnym władzom wojskowym, t. j. powiatowym naczelnikom wojennym i komendantom stacyj kolejowych i miast, takich samych kompetencyj, jak w czasie wojny i mobilizacji; prawdopodobnie jednak jest to tylko projekt dziennikarski i projektowana komisja będzie dyktaturą raczej administracyjną niż wojenną.

Pomijając przykłady historyczne, jak np., nie mówiąc już o dawniejszych, dyktatura hr. Loris-Melikowa w czasie rzymskiej zarazy wełłańskiej, przykłady dowodzące, iż ustanowienie podobnych władz nadzwyczajnych nie sprzeciwia się bynajmniej ruskim tradycjom administracyjnym, śmiało twierdzić możemy, że projektowana organizacja odpowiada w zupełności potrzebom chwili. Przedewszystkiem jest ona zadośćuczynieniem pewnej potrzeby moralnej. Jakkolwiek większość pism ruskich uderzyło na hr. Tolstoja za wzmiankę o «panice społecznej», niewątpliwie jednak owa panika, owo zagadkowe zatrwożenie umysłów bardzo wyraźnie wydatnia się nawet na szpaltach «Mosk. Wied.», w korespondencjach z miejscowości dotkniętych głodem. Na taki stan umysłów jedyną radą jest przeświadczenie o rychłej i niewątpliwiej pomocy, a w przekonaniach ludu i społeczeństwa ruskiego tylko rząd posiada i siłę, i powagę odpowiedzialną. Zapewne, taka wyraźna i otwarta inicjatywa rządowa mogłaby mieć obosieczne następstwa, gdyby nie zupełna niemal pewność, że rząd posiada środki, zasoby i metody, aż nadto wystarczające do szczęśliwego podjęcia i wykonania ratunkowej akcji.

Powtórne upaństwowienie akcji takowej jest słusznem następstwem materialnego udziału rządu w walce z głodem. Wobec ofiar rządowych wszelkie składki i datki mniej lub więcej dobrowolne, wszelkie dobre chęci osób prywatnych i wszelkie nawet czyny ludzi dobrej woli są drobnostką. Jest to siła stosunków i siła rzeczy, której nikt nie przerobi w jednej chwili. Zapewne w czasie ostatniego nieurodzaju w Irlandji, nikt w Londynie nie domagał się ustanowienia na Zielonej wyspie «dyk-

Mianowany w 1879 r. sędzią honorowym wileńskiego okręgu, sprawował urząd ten przez lat osiem.

Jako wieloletni członek wileńskiego Towarzystwa dobroczynności, nieustraszone brał udział w pracach tej wielce pożytecznej instytucji. Był jednym z najgorliwszych inicjatorów projektu wzniesienia z fundusów dobroczynności, uzupełnianych prywatnymi wkładkami domu tanich mieszkań dla podupadłych majątkowo rodzin. Sam też doszorował gorliwie, póki sił starczyło, początkowo przy tej budowie roboty. Wszędzie sykał zaufanie i jedną przychylności. Bo też życie całe s. p. Konstantego było nieprzerwanym pasmem spełnianych obowiązków w pracy i prawdzie!

Charakter to był jednolity, prawy, szlachetny, umysł głęboki, otwarty a trzeźwy i praktyczny. Sąd jasny i trafny, zarówno o sprawach, jak i o ludziach i znajomość ich wielka.

Niesrównany dar ujęcia wszystkich, z którymi obcował. Ci, co mieli sposobność zbliżenia się do s. p. Balińskiego, wiedzą i pamiętają dobrze, jaki urok wywierał na każdym wrodzoną uprzejmością, dobrocią serca i tym czarem słowa, z którego wpływało naprzemian rozumne poważne zdanie, lub tryskał złoty humor, zaprawiony dowcipem wybornym, nie raniącym wszakże nikogo.

W przyjaźni stały i wypróbowały, w stosunkach rodzinnych, sąsiedzkich i koleżeńskich łatwy,

ujmujący i uczynny. Gotów zawsze nieść pomoc, radę zdrową i wsparcie potrzebującym, to ostatnie szczególnie bez roszkowania i w sposób najdelikatniejszy. Umiejący należycie uwydatnić zasługi innych, wyższością własną nie imponował, ani upokarzał nikogo.

Dom państwa Konstantych Balińskich, tak w mieście, jak na wsi, zawsze był przybytkiem szczerzej tradycyjnej gościnności.

Przez ostatnich lat kilka, dotknięty ciężką niemocą, amuszony został, w sile wieku, z pośrodku rozlicznych zajęć na szerszej widowni, cofnąc się do domowego zacisza. Zachował jednak i w tej bolesnej próbie, właściwą sobie cechę rzadkiego usposobienia. I jak przedtem, był wzorem męża czynu, tak później stał się budującym przykładem rezygnacji w poddaniu się wyrokowi Bożemu. Niezmaconą swobodę umysłu zachował wśród srogich nawet cierpień, interesując się żywo do ostatka sprawami ogólnymi, zgrówno jak troskliwie dbając o dobro i spokój najbliższych. Hart był to prawdziwie chrześcijańskiej duszy. Jako prawy syn Kościoła, umocniony jego łaskami, z godłem wiary św., która mu przewodniczyła w życiu całym, po jego smokach i trudach spoczął w Panu dnia 20 kwietnia 1891 r.

Złożony w grobach rodzinnych obok rodziców i dziada Jana Śniadeckiego, rektora, w ukochnych przez siebie Jaszunach, pozostawił w drogo-

ceanej spuściźnie żonie i dzieciom nieskazitelne i dobrze zasłużone imię.

Cześć jego pamięci!

S. p. Tekla z Gotturskich Hejbowiczowa, chorążanka W. Ks. litewskiego, spoczęła w Bogu w Wilnie dnia 4 (16) listopada i pogrzebiona na cmentarzu bernardyńskim 7 t. m.; przeżyła 86 1/2 lat i 24 dni. Blaskiem cnót przyswiecała trzem pokoleniom swego potomstwa, jednocząc je u wspólnego ogniska.

Zal wielki po twym agonie ścisnął serca krewno... I od grobu do niebios łzawo śląc spojrzenie. Błagamy, splótszy dłoń, w nuty hymnów rzewne: Daj jej duszy, o Boże, wieczne odpocznienie!

L...ław (wnuk).

SPROSTOWANIE.

W N-rze 46 „Kraju» w odpowiedziach od redakcji p. M. Ob. wkradła się korektorska pomyłka. Należy czytać: «Bliskich swoich znajomych». Pomyłka ta, spostrzeżona po wydrukowaniu numeru i rozesłaniu na pocztę, tylko w pewnej części nakładu mogła być poprawiona.

REDAKTOR I WYDAWCA ERAZM PILTZ.

«NEWSKI BAZAR»

zawsze posiada wybór bogaty kostiumów męskich, oraz ubrań wojsk. i cywil. wszystkich fasonów i wszyst. kostiumów unifor. Obstał. wykonyw. są we własnych pracown. Roboty trwałe, krój wykwinny. Ceny tanie. Uprasza zwrócić uwagę na firmę: «BAZAR NEWSKI» B. DATTEL.

51. PROSP. NEWSKI. 51.

(908-10-9)

„SŁOWO”

dziennik polityczny, społeczny, ekonomiczny i literacki,

wychodzi w Warszawie pod redakcją

Mściława Godlewskiego,

przy stałym współudziale

HENRYKA SIENKIEWICZA

i Józefa KENIGA,

b. redaktora «Gazety Warszawskiej».

oraz ks. Zygmunta Chelmskiego, d-ra Antoniego Donimirskiego, Juljana Łętowskiego, Antoniego Zaleskiego i wielu najcelniejszych sił dziennikarsko-publicystycznych.

Feljton «SŁOWA», mając zapewnione stałe współpracownictwo autora «Ogniem i mieczem», zamieszczać będzie obok powieści i LISTÓW Z PODRÓŻY HENRYKA SIENKIEWICZA, utwory beletrystyczne T. J. Chojńskiego, Estel, Klemensa Junoszy, Włodzimierza Zagórskiego, Jana Zacharjasiewicza i wielu innych.

Nadto «SŁOWO» daje co tydzień bezpłatny dodatek powieściowy (w formie książkowej), złożony z najlepszych utworów beletrystycznych literatury bce.

CENA PRENUMERATY:

w Warszawie: Rocznie rs. 9, półrocznie rs. 4 kop. 50, kwartalnie rs. 2 k. 25, miesięcznie kop. 75. Za odnośzenie do domu 5 kop. miesięcznie. Na prowincji i w Cesarstwie: rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3. Zagranicą: rocznie rs. 18, półrocznie rs. 9, kwartalnie rs. 4 kop. 50.

Adres Redakcji i Administracji «SŁOWA»: Warszawa, Mazowiecka № 11.

Rozpoczynając jedenasty rok istnienia, «Słowo» prowadzone będzie i nadal w tym samym duchu i kierunku co dotychczas, z ustawiczną starannością o szybkość i dokładność informacji, zarówno w dziale politycznym, jak ekonomicznym i handlowym. Rozumiejąc dobrze dzisiejsze położenie i potrzebę rolnictwa, przemysłu i handlu, «SŁOWO» pierwsze zaprowadziło obszerny i bardzo szczegółowy dział ekonomiczny i wiadomości z targów, czerpiąc dane ze źródeł pewnych i pierwszorzędnych i bacząc na to, aby w jego łamach znajdowały się wszystkie informacje, rolnikowi zwłaszcza potrzebne. Prawdziwe i sumienne wypadków politycznych oświetlenie, konsekwentnie w danym kierunku prowadzone, bacznosc na zadania i potrzeby ekonomiczne chwili, starannosc o język i literacką stronę wydawnictwa, wreszcie bogaty dział feljtonowy i powieściowy, zdobyły też w ciągu dziesięciu lat ubiegłych «SŁOWU» pierwszorzędne stanowisko w prasie warszawskiej, zjednywując mu coraz szersze koło czytelników i prenumeratorów. Silnie tem poparciem, ufne, że mu go w przyszłości nigdy nie zbraknie, «SŁOWO» iść będzie i nadal po raz obranej drodze, dokładając starań, aby wszechstronność, połączona z lekką formą a gruntowną treścią, czyniła to pismo niezbędnym dla każdego czytelnika.

ZDROWIE,

pismo miesięczne, poświęc. higienie pod redakcją J. POLAKA.

WARUNKI PRZEDPŁATY:

w Warszawie: rocz. rs. 4, półrocz. rs. 2. Na prow. i Ces.: rocz. rs. 5, półrocz. rs. 2 k. 50; zagranicą: rocz. 6 flor., 10 m.; 10 s., 14 f., półrocz. 3 flor., 5 m., 5 s., 7 f. Cena pojedynczego numeru 45 k.

Prenumerować najlepiej w Redakcji. W Austrii można prenumerować w administracji «Przeglądu lekarskiego», w Krakowie lub w protomedyka D-ra Merunowicza (12 Piłkarska) we Lwowie, do którego można składać rękopisma dla pomieszczenia w «Zdrowiu». Adres Redakcji 25, Ś-to-Krzyszka w Warszawie.

Treść «Zdrowia» stanowią: artykuły cechy ogólnohygienicznej, stosunki ludnościowe u nas i w innych krajach, stosunki meteorologiczne, epidemiologia, stan sanitarny miast, asenizacja, kanały i wodociągi, higiena mieszkań, ogrody i place publiczne, kąpiele, zakłady dobroczynne, zdrojowiska i miejscowości klimatycznie-lecznicze, higiena żywienia, wynalazki i przyrządy sanitarne, higiena szkół, fabryk, rzemiosł i t. d.

W Redakcji «Zdrowia» są do nabycia: 1) B. Danielewicz. Ludność m. Warszawy w obrazach graficznych, 12 tab. graficz. litogr. kolor. Cena rs. 1 wraz z przes. 2) J. Polak. Praktyka szczepienia ospy ochronnej, k. 75 z przes. 3) J. Polak. O znaczeniu sztuki lekarskiej i o stanowisku lekarzy, z przes. k. 70. Soxhlet. Mleko dla dzieci i odżywianie ssawców, przeł. St. Prausa. (odb. ze «Zdrowia») kop. 10, z przesyłką kop. 15. Kalendarz lekarski na r. 1892, pod redakcją J. Polaka. Cena z przesyłką rs. 1 kop. 40. Zasady higieny, przekład z dzieła prof. Flüggego z 2 tablicami kolorowymi, 40 arkuszy druku. Cena z przesyłką 3 rs. dla prenumeratorów «Zdrowia» rs. 2 kop. 50.

Wszystkie wydawnictwa «Zdrowia» (książki i broszury) można wypisywać z saliszeniem pocztowym. (R-920-2-2)

Dr. J. DRZEWIECKI

(homeopata), b. ordynator kliniki (Uniwers., przyjmuje od 9 do 10 rano i od 4 1/2 do 6 popoł.). Krak.-Przedm. № 67, w Warszawie. (W-175-50-21)

H. CEGIELSKI, SKŁAD MASZYN, FILJA W WARSZAWIE,

Nowy-Swiat, 11

ma honor polecić znane ze swej praktyczności, trwałości, dokładnego i starannego wykonania:

Bukowniki, Wialnie, Arfy, Wybieracze grochali (Trieury), Sieczkarnie, Śiekacze, Gniotowniki, Srótowniki, Parowniki, oraz wszelkie inne maszyny i narzędzia rolnicze.

Ceny umiarkowane, możliwe udogodnienia wyplat!

(W-241-4-4)

KSIĘGARNIA POLSKA BR. RYMOWICZ,

Petersburg, ul. Kazańska № 26.

POLECA NASTĘPUJĄCE DZIEŁA:

- Album Maksa i Aleksandra Gierymskich. Tekst A. Sygietyńskiego. Z 24 rycinami, rs. 5, opr. ozd. rs. 6.
- Album pamiątkowe Adama Mickiewicza. Wydał Wł. Piast. Zawiera treściwy życiorys wierszami, ozdobiony 9 rycinami w tekście, a nadto 50 większych ilustr. W pięknej płóc. opr. rs. 6.
- Antologia polska. Wybór najcenniejszych utworów poetów polskich, z 15 ilustr. Andriollego, Brandta, Gersona, Jankowskiego, Lessera, Piłatego i Żmurki. Wyd. ozd., brzegi złoczone, rs. 5.
- Behaterki poezji polskiej, z 10 ilustracjami Andriollego. W ozd. opr. rs. 3 k. 50.
- Bryll Ferd. Z teki smoka. Sylwetki krakowskie. Serja I. Politycy i dziennikarze, rs. 1 k. 50.
- Kobieta w poezji polskiej. Głosy poetów o kobiecie, przez autora «Antologii polskiej», z 8 rys. E. Andriollego. W osobnej opr., brzegi złoczone, rs. 5.
- Kondratowicz L. (Wł. Syrokomla). Urodzony Jan Dębóróg. Dzieje jego rodu, głowy i serca, przez niego samego opowiadane. Ilustrował E. M. Andriolli, na welinie, w osobnej oprawie, brzegi złoczone, rs. 8.
- Konopnicka Marja. Poesje, 3 tomy, rs. 4 k. 50, opr. ozd. rs. 6, w bogato złoczonej oprawie rs. 7 k. 50. Każdy tom można nabywać osobno, po rs. 1 k. 50, rs. 2, i rs. 2 k. 50 za tom.
- Kraszewski J. I. Stara baśń, powieść z IX wieku, wydanie jubileuszowe; na wytwornym welinie, z 24 ilustracjami Andriollego i portretem autora na stali, w ozdobnej oprawie w płótno angielskie ze złotonemi brzegami, rs. 12.
- Wizerunki książąt i królów polskich. Z 39 rycinami Piłatego, oraz inicjałami Cz. Jankowskiego. Wydanie ozdobne na wytwornym papierze welinowym, rs. 8.
- Malczewski Antoni. Marja, powieść ukraińska, wydanie ozdobne z 8 fotogr. rycinami, rysunku E. M. Andriollego. Wyd. 3, w oprawie ozdobnej, brzegi złoczone, rs. 2 k. 14.
- Mickiewicz Adam. Grażyna — Konrad Wallenrod, dwa poematy. Z 12 ilustracjami kompozycji Jul. Kossaka, w bogato złoczonej oprawie, rs. 5.
- Grażyna, powieść litewska z pięciu ilustr. J. Kossaka, w bogato złoczonej oprawie, rs. 2 k. 80.
- Konrad Wallenrod, pow. hist. z dziejów litewskich i pruskich, z siedmiu ilustr. J. Kossaka, w bogato złoc. opr., rs. 3 k. 60.
- Pan Tadeusz, czyli ostatni szjad na Litwie. Z portretem poety i 24 ilustr. E. M. Andriollego, w bogato złoc. opr., rs. 7.
- Plug Adam. Z dawnych lat. Trzy legendy z ilustr. Andriollego, rs. 1 k. 50.
- Pol Wincenty. Mohort, rapsod rycerski z podania. Z 24 ilustr. J. Kossaka. W ozd. opr. ze złoc. brzegami, rs. 13.
- Schiller Fr. Dzieła poetyczne i dramatyczne, wydanie ilustrowane przez znakom. artystów, 2 tomy, w ozdobnej oprawie, rs. 18 k. 60.
- Witkiewicz St. Na przełęcz, wrazenia i obrazy z Tatr. Ozdobione 185 drzeworytami w tekście, rs. 5 k. 50.
- Aczyje Wł. Duch puszcz, opowiadanie z amerykańskich borów, według Biarda, kart. rs. 1 k. 20, opr. rs. 1 k. 70.
- Księga sławniejszych odkryć geograficznych, kart. rs. 1 k. 20, opr. rs. 1 k. 70.
- Opisy i przygody po różnych częściach świata, rs. 1 k. 20, opr. ozd. rs. 1 k. 70.
- Perły, zbiór cenniejszych powieści z liter. ang., karton. rs. 1 k. 20, opr. rs. 1 k. 70.
- Przypadki Robinsona Kruzoe, z drzew. i 10 rycin., karton. rs. 1 k. 20, opr. rs. 1 k. 70.
- Beaumont de. Czarodziejkie baśnie dla młodego wieku, rs. 1 k. 85.
- Berthel E. Młodszy w pięciu częściach świata. (Féliks, mały paryżanin. Adam Smith, mały amerykańczyk. Lao, mały chińczyk. Hans, mały eskimos. Samba, mały afrykanin. Kędzierzawa głowa, mały australczyk), kart. rs. 1 k. 50, opr. ozd. rs. 2.
- Blarł. Pogadanki braci z siostrami, ku zabawie młodych czytelników, z rycinami, kartonow. rs. 1 k. 20, opr. rs. 1 k. 70.
- Wyprawa po złote runo (przygody wędrowców w Ameryce), z rycinami, opr. rs. 1 k. 80.
- Bogdan Jan. Nauka czytania polskiego, kart. rs. 1.
- Buckley Arabella. Czary w krainie wiedzy, przekład z ang., ozd. opr. rs. 2 k. 40.
- Castillon A. Po szkolnym roku. Powieść naukowa dla dzieci, kart. rs. 1 k. 20, opr. rs. 1 k. 70.
- Wakacje na wsi. Powieść naukowa dla dzieci, kart. rs. 1 k. 20, opr. rs. 1 k. 70.
- Chailly P. Przygody podróżnika i myśliwego w Afryce zach., kart. rs. 1 k. 20, opr. rs. 1 k. 70.
- Checiński J. Dzień grzesznego Władzia, w rymowanych ustępach opowiedziany dziatwie, z 12 drzew., rs. 1 k. 20.
- Malowanki, dziesięć kolorowanych tablic, opisane rymem dla drobnej dziatwy, rs. 1.
- Przyjaciele dzieci w obrazkach, dla drobnej dziatwy, rs. 1 k. 20.
- Zabawka dla młodej dziatwy w obrazkach i wierszykach, rs. 1.
- Czepliński E. Stawa. Opowiadania historyczne z dziejów Grecji, kart. rs. 1 k. 20, opr. rs. 1 k. 50.
- Dąbrowska Z. A. Wieczory jesienne, opowiadanie matki, kart. rs. 1 k. 20, opr. ozd. rs. 1 kop. 70.
- Dzieduszycka An. Jak sobie dziatwa radziła, kart. rs. 1, opr. rs. 1 k. 40.
- Szary dom, k. 50.
- Dziękowski T. Wiazanie dla moich wnuków. Pierwiastki czytania, jako zachęta do nauki, kart. rs. 1, opr. rs. 1 k. 40.
- Faraday M. O siłach natury. Dzieje świecy. Dwanaście odczytów dla młodzieży, z licznymi drzeworytami w tekście, k. 60.
- Gawalewicz W. Zwierzęta w ślicznych obrazkach i wierszykach, dla małych dzieci (12 tablic kolorow. rycin) z ozdobną okładką w kartonie rs. 1 k. 20.
- Gerstaeker F. Jak wygląda świat i co się na nim znajduje, kart. rs. 2 k. 20, opr. rs. 2 k. 70.
- Mały poszukiwacz złota w Kalifornii, kart. rs. 1 k. 20, opr. rs. 1 k. 90.
- Green H. Brat ociemniały, powieść dla młodzieży od lat 12 do 15, k. 60, opr. ozd. k. 90.
- Grube A. W. Historia powszechna w obrazkach: tom I (czasy przedchrześcijańskie) rs. 2; tom II (wiek średni) rs. 2; tom III (dzieje nowożytne) rs. 2.
- Grzechy J. cnoty, 30 powiastek dla dzieci, z 5 rycinami, kartow. k. 75.
- Haggard-Rieder. Kopalnia króla salomona, pow. dla młodzieży, z rycinami, kart. rs. 1 k. 20, opr. ozd. rs. 1 k. 70.
- Hering J. Dzieci kłosa, powieść, k. 60.
- Hoffmann Fr. Bóg obfitości, 149 pow. dla małych dzieci, karton, rs. 1 k. 20, opr. rs. 1 k. 50.
- Zagrzebani w śniegu, kart. k. 85.
- Hoffmanowa Kl. Druga książeczka Helenki, pow. dla dzieci szesnastoletnich, czytając gładko, kart. k. 75.
- Pamiętka po dobrej matce, opr. rs. 1 k. 35.
- Wiazanie Helenki. Książeczka dla małych dzieci, z 8 ryc., k. 60.
- Izdebska. Praca bogactwem, powieść dla dorast. młodzieży, opr. ozd. rs. 1 k. 70.
- Jachowicz St. Bajki i powiastki z ilustracjami, k. 80.
- Kamecka J. W imię prawdy i dobra. Kilka nauk w powieściach, rs. 1 k. 20.
- Konopnicka M. Moja książeczka, z 15 obrazk. H. Beneta, rs. 1 k. 30.
- Wesole chwile. Z 17 obrazkami H. Beneta, rs. 1 k. 30.
- Wiosna i dzieci, z 11 tablicami obrazków, rs. 1 k. 80.
- Laskarys J. Pamiętki starego szlachyca, z 8-ma chromolitografiami i 15 drzeworytami, w opr. kart. rs. 2 k. 25, w ozd. rs. 3.
- Przygody Jana Chryzostoma Paska z 8-ma chromolitografiami i 15 drzeworytami, w opr. ozd. rs. 3.
- Laurie A. Przygody młodego chłopca w szkołach, kart. rs. 1 k. 20, opr. rs. 1 k. 80.
- Łęka E. Fantazja i prawda, kilka nowych powieści dla młodego wieku, karton. rs. 1, opr. rs. 1 k. 50.
- Majerski St. Stosunki religijne starożytnych greków, opr. ozd., rs. 1 k. 20.
- Życie domowe starożytnych greków, opr. ozd., rs. 1 k. 20.
- Marja Leona. Bajeczki i różne wierszyki dla Adasia i Reginki, k. 30.
- Marryat. Osadnicy kanadyjscy, pow. dla młodzieży, opr. rs. 1, ozd. opr. rs. 1 k. 50.
- Marrené W. Kazio, pow. dla młodzieży, opr. k. 90.
- Mayne-Reid. Dolina bez wyjścia, karton. rs. 1 k. 20.
- Młodzi żeglarze, karton. rs. 1 k. 20, opr. rs. 1 k. 70.
- Na spódzie okrętu, kart. rs. 1 k. 50, opr. rs. 1 k. 70.
- Polów potworów morskich, opr. rs. 1 k. 70.
- Przygodymyśliwskie, kart. rs. 1 k. 20, opr. rs. 1 k. 70.
- Wygnaniecy w lesie, opr. rs. 1 k. 70.
- Melville H. Cztery miesiące pobytu na jednej z wysp Markizów wśród dzikich, kart. rs. 1 k. 50, opr. rs. 2.
- Moleworth M. Goście ciatki Klotydy, k. 80.
- Morawska Z. Giermek książęcy. Powieść historyczna z XIII wieku dla młodzieży dorastającej. Z rysunkami Jul. Maszyńskiego karton. opr. rs. 1 k. 20, ozd. rs. 1 k. 70.
- Nowe powiastki i baśnie z 12 kolor. obrazkami, rs. 1.
- Perawska Br. W imię Koleżeństwa, powieść dla młodego wieku, rs. 1 k. 50.
- Powiastki dla małych dzieci z ilustr. k. 50.
- Przyborowski W. Chrobry, opowiadanie historyczne z XI wieku. Z 6-imi rycinami W. Łuski. Karton. rs. 1 k. 20 w ozdobnej oprawie. rs. 1 k. 70.
- Król Krak i królowa Wanda, opowiadanie przedhistoryczne dla młodzieży, z 8 rysunkami Jankowskiego. Karton. rs. 1 k. 20 w ozdobnej oprawie. rs. 1 k. 70.
- Leluz-Peluz, opowiadanie historyczne z X wieku. Z rycinami W. Łuski. Karton. rs. 1 k. 20 w ozdobnej oprawie. rs. 1 k. 70.
- Myszy króla Popiela, opowiadanie przedhistoryczne dla młodzieży. Karton. rs. 1 k. 20 w ozdobnej oprawie. rs. 1 k. 70.
- Schmid ks. Kancolk. Dziewięćdziesiąt powiastek dla dzieci, spolszczone przez J. Ohęcińskiego, z 8 rycin. kolor., kart. k. 90.
- Jaskinia Beatusa, pow. dla starszych dzieci z 4-ma ilustr., opr. k. 60.
- Skretek białego dworku. Powiastka dla dzieci przez Autorkę «Dziennika Redolifu» z ryciną, kart. rs. 1 k. 20.
- Siemieński L. Wieczory w Ojcowie, czyli opowiadanie Grzegorza o dawnych dziejach, z obrazkami, rs. 1 k. 50.
- Sfrassie Fr. Historia naturalna dla młodzieży, przejrzana i uzupełniona przez prof. A. Wrzesniowskiego, rs. 1 k. 80.
- Swiderska M. Garbusek, pow. dla dorastających panienek, z 5-ma ryc., kart. rs. 1, opr. rs. 1 k. 50.
- Opowiadania historyczne dla młodego wieku z rys. Jankowskiego. Treść: Ostatni Piast na Śląsku. Poseł polski w Carogrodzie. Z krwawych dni. Braniec tatarski, kart. rs. 1 k. 50, opr. ozd. rs. 2.
- Teresa-Jadwiga. Chwilerosrywki, sześć moralnych pow. dla starszych dzieci, karton. rs. 1 k. 20, opr. rs. 1 k. 70.
- Kopciuszek, pow. dla dorastających pan. rs. 1, opr. rs. 1 k. 50.
- Podarek dla drobnych dzieci, 46 moralnych powiastek dla dzieci, z 12 ryc. rs. 1 k. 85.
- Szlachetne marzenia, kort, rs. 1 k. 50, opr. rs. 2.
- Ze świata rzeczywistości i ze świata fantazji, 5 pow. dla czytelników od 10 do 14 lat, z 5 rys., kart. rs. 1 k. 20, opr. rs. 1 k. 70.
- Trzy lata pobytu w Ameryce północnej. Przygody młodego sieroty, z 12-ma staloryt. kolorow., kart. rs. 1 k. 50, ozd. opr. rs. 2 k. 20.
- Umiński W. Zwycięscy oceanu, rs. 1 k. 50.
- Wagner H. Podróż naukowa po pokoju, z wielu rycinami, kart. rs. 1, opr. ozd. rs. 1 k. 50.
- Weryho M. Nasi przyjaciele. Książka dla dzieci od lat 7 do 10, z ilustr. Brzozowskiego, rs. 1.
- W mieście i na wsi. Z 10 rys. Cz. Jankowskiego, rs. 1.
- Z życia zwierząt. Pies, k. 20.
- Whitney. Dobre żony, powieść k. 75, opr. rs. 1.
- Małe kobietki, powieść, k. 75, opr. rs. 1.
- Wybór zagadek dla dzieci, k. 10.
- Verne J. Przygody trzech rosjan i trzech angiolków w południowej Afryce, z ryc., rs. 1 k. 40.
- Z domu i ze świata, powieść, k. 80, opr. rs. 1 k. 50.
- Zajczkowska Z. Trzy powieści: Wytrwałość i praca. Halina Zagórka. Ułomni, z drzeworyt., kart. rs. 1 k. 20, opr. rs. 1 k. 70.
- Zaleska M. J. Bajeczki prawdziwe, z rys. kol., rs. 1 k. 20.
- Dwie siostry, opow. z życia młodych dziewcząt, dla panienek, brosz. rs. 1 k. 80, opr. rs. 2 k. 40.
- Gwiazda Sudanu, przygody podróżników w Afryce środkowej (M. Prévost-Duclos) z francuskiej naśladowała. Z 7-ma rycinami Jul. Maszyńskiego, karton. rs. 1 k. 20.
- Iskierki, krótkie powiastki i bajeczki dla młodszej dziatwy. Z 8-imi rycinami De Lavaux, karton. rs. 1.
- Odgłosy gór i dolin. Powieści z dawniejszych i nowszych czasów dla młodego wieku. Z 7 rycinami M. Kotarbińskiego, karton. rs. 1 k. 20, w ozdobnej oprawie rs. 1 k. 70.
- Przygody młodego podróżnika w Tatrach, z dziennika Kazia napisano, z 15 ryc., nowe wydanie, karton. rs. 1, w oprawie rs. 1 k. 50.

